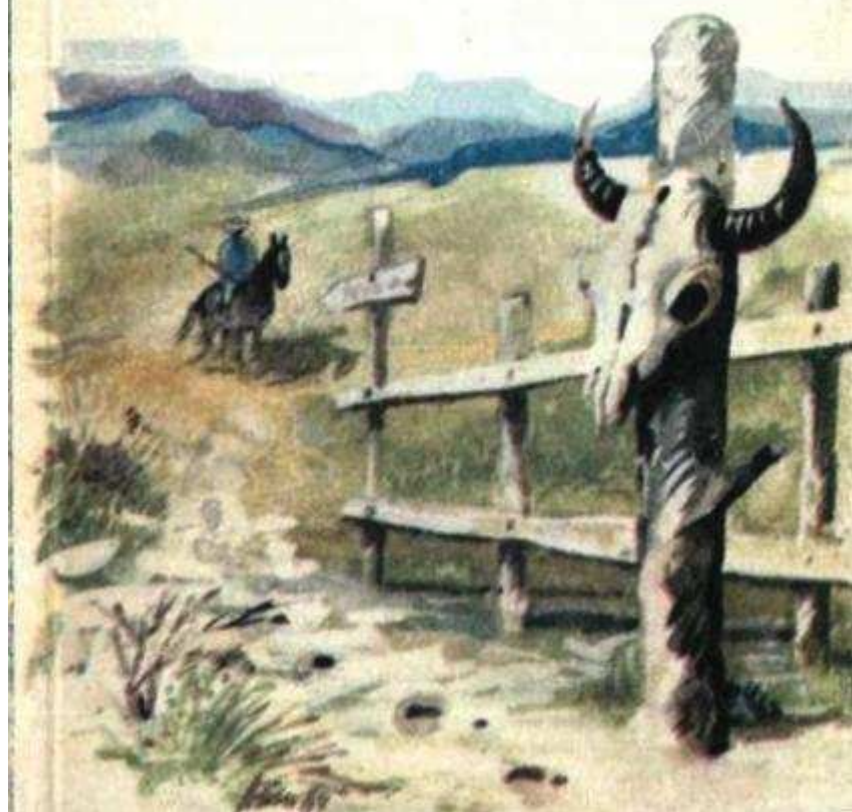


# SILAK NIELOMINICH

ERNEST  
HAYCOX



WESTERNY Z „PRZYGODY”



Piekło w dolinie



Szlak niezłomnych



ERNEST HAYCOX

**SŁAK  
JĘZOMNICH**

Wydawnictwo PRZYGODA

SZCZECIN 1989

Tytuł oryginału

*Trail smoke*

Przełożył z angielskiego

*Mieczysław Dutkiewicz*

Opracowanie graficzne

*Andrzej Tomczak*

Redaktor Z

*ofia Kowalik*

Redaktor techniczny

*Lidia Wójcik*

Korekta

*Zespół*

©Copyright by „Przygoda”, Szczecin 1989

ISBN 83-7037-000-4

## 1.

Po dwóch dobach siedzenia w siodle Buck Surratt dotarł do pierwszych ramion łańcucha gór. Tu droga porzucała nagle spaloną od słońca równinę i wchodziła w kanion, za którym rozciągała się górzysta kraina porośnięta lasami. W oddali wznosiły się wierzchołki Gray Bull, dźwigając na swych barkach całe niebo.

Gorzkie doświadczenia, nabyte w ciągu wielu lat, nauczyły Bucka, by nie przejeżdżać lepiej kanionem. Skręcił na lewo, wspiął się pod górę, zatrzymał konia i rzucił wzrokiem za siebie — tam, skąd przybył. Słońce chyliło się już ku zachodowi, ostatnie jego promienie oblewały ziemię jakby złocistą lawą. Buck przeniósł spojrzenie z rozdygotanej od żaru pustyni na zielen odległych pagórków. Tam mógł znaleźć chłód i samotność — i anonimowość. A ponieważ o to mu właśnie chodziło, szarpnął za cugle i ruszył w tamtą stronę, do lasu...

Zapadł już zmrok, on jednak siedział nadal przy ognisku, paląc fajkę i obserwując blask płomieni, które tworzyły rubinowoczerwoną wyrwę w mrocznym cieniu lasu. Wreszcie owinął się w koc i ułożył wygodnie do snu. Ostatnim odgłosem, jaki dotarł do jego świadomości, było ciche parskanie konia skubiącego trawę...

Huk wystrzału przeciął ospałą ciszę nocy. Buck oprzytomniał momentalnie, leżał jeszcze przez dłuższą chwilę

w bezruchu, wsłuchując się w gasnące echo tak długo, aż umilkło zupełnie. Ognisko wygasło już. Tuż nad ziemią snuły się opary mgły. Strzał musiał być oddany w kanionie z lewej strony. Ciche trzaski zdradzały, że tam w dole ktoś przedziera się gwałtownie przez zarośla.

Buck uniósł głowę z siodła, sięgnął pod nie ręką i wyjął z kabury rewolwer, następnie odsunął na bok koc, wstał i skrył się za pobliskim drzewem.

Ktoś podchodził pod górę tą samą stroną kanionu, nie starając się w ogóle zataić swej obecności. Słysząc było wyraźnie trzask pejcza tnącego powietrze i uderzającego o grzbiet konia.

Jeździec przedostał się już przez ostatnie krzaki i zatrzymał konia na niewielkiej polanie. I on, i zwierzę oddychali głośno. Potem koń zakręcił się nagle w miejscu, omal nie zrzucając swego pana z siodła. Mężczyzna jęknął jakoś dziwnie, zatoczył koniem i pomknął galopem na wschód, w stronę gór.

Buck nie wychodził zza drzewa, dopóki tętent kopyt nie przebrzmiał w dali, następnie wrócił na poprzednie miejsce, nabił fajkę i zapalił. Siedział w kucki, zarzuciwszy sobie koc na ramiona.

Z kanionu nie dobiegał żaden podejrzany dźwięk. Nic nie wskazywało na to, by ktoś inny podążał śladem nieznanego.

Buck wyjął z kieszeni zegarek i przybliżył do niego główkę fajki. Dziesięć po drugiej. Schował z powrotem zegarek, owinął się szczelniej kocem i wsparł się na łokciach. W skupieniu zbierał myśli. O dalszym śnie nie było już oczywiście co marzyć. Wystarczył ten jeden strzał, aby poczucie bezpieczeństwa przyszło bezpowrotnie.

Kiedy przed godziną czwartą pierwsza szarość poranka uwydatniła się nad wierzchołkami Gray Bull, Buck wstał i

ostrożnie zszedł po zboczu — tą samą drogą, którą jeździec wspiął się w nocy. Na dnie kanionu dojrzał małą polankę i stojącą na jej skraju chatę pasterską. Drzwi były otwarte. W pobliżu zobaczył osiodłanego konia. Przez dłuższą chwilę nasłuchiwał pod drzwiami, ale nic nie przerywało panującej wewnątrz ciszy. Wreszcie otworzył drzwi szerzej i wszedł do środka.

Nie minęło dwadzieścia minut, a już wspiął się z powrotem pod górę. Tym razem jego ruchy były szybkie, energiczne i zdecydowane. Natychmiast spakował swoje rzeczy i osiodłał konia. Potem zrobił coś, co dla postronnego widza mogło wydawać się bez sensu: do tej pory nigdy nie jeździł bez założonego na biodra pasa z bronią. Teraz jednak wziął pas z kaburą i rewolwerem, owinął wszystko w koc i przytroczył zawiniątko do siodła. Krótko po czwartej jechał dalej na wschód. Robiło się coraz widniej.

Ślady nocnego jeźdźcy były widoczne jak na dłoni; podążał nimi bez trudu. Tylko raz zsiadł z konia i przykucnął, oglądając coś uważnie. Potem ruszył znowu do przodu. Droga wiodła stale pod górę. Po pewnym czasie zostawił za sobą las i znalazł się na górskiej łące. Nieco dalej, w tyle, wąska ścieżka prowadziła na półkę skalną, skąd roztaczał się wspaniały widok na drogę, przecinającą skalne dno kanionu.

Stał przez chwilę, spoglądając w dół, a kiedy odwrócił się, chcąc wejść znowu na ścieżkę, ujrzał jeźdźca na skraju lasu. Mężczyzna siedział nieruchomo w siodle, wsparty oburącz o lęk. Niedbale zawołał:

— Sie masz!

Buck obrzucił go szybkim spojrzeniem. Nieznajomy był niskiego wzrostu, siwowłosy, miał przygarbione ramiona jakby pod ciężarem wszystkich tych lat, które zapewne spędził,

poganiając bydło za trzydzieści dolarów miesięcznie.

— Sie masz! — odparł Buck tak samo niedbałym tonem i tak samo lakonicznie.

— Czy ostatniej nocy obozował pan tu gdzieś w pobliżu? — zapytał niski mężczyzna.

— Tak, na małej polanie.

— Słyszał pan może jakiś strzał?

— Owszem.

Nieznajomy zapytał szybko:

— Gdzie? — Potem umilkł raptownie, a w jego spojrzeniu zabłysło wzmożone zainteresowanie. Przypatrywał się Buckowi jakby z niedowierzaniem, zatrzymując dłużej wzrok na biodrach. Nie widząc pasa z bronią, dodał z wahaniem: — No cóż, to chyba nie moja sprawa.

— Też tak sobie pomyślałem — odparł Buck. — I właśnie dlatego pojechałem dalej.

Jeździec wygrzebał z kieszeni koszuli kapciuch z tytoniem i bibułkę, po czym zręcznie przyrządził sobie skręta.

— Szuka pan może pracy? — zapytał.

— Chyba będę musiał coś sobie znaleźć — przyznał Buck.

— Od razu się domyśliłem. W takim razie niech pan pogada z Billem Headem w Morgantown.

— Dlaczego akurat z Billem Headem?

— No, jeśli chce pan dostać pracę — wyjaśnił cicho, lecz z naciskiem nieznajomy.

Buck spojrzął na niego z ożywieniem.

— Jakoś do tej pory potrafiłem znaleźć sobie pracę sam, bez niczyjej pomocy.

Tamten wzruszył ramionami.

— Może i tak. Ale jeśli szuka pan zajęcia, to właśnie Head



jest tym człowiekiem, dla którego mógłby pan pracować.

— Dla nikogo innego?

— Raczej nie. Do Morgantown ma pan stąd trzy mile. Niech pan jedzie dalej tą drogą.

Zgarnął cugle, cmoknął na konia, ominął Bucka i wkrótce zniknął w płataninie krzewów.

Buck odprowadzał go wzrokiem do ostatniej chwili, potem ostrożnie zjechał w głąb kanionu i udał się wskazaną przez nieznajomego drogą. Około godziny dziewiętej znalazł się za ostatnim zakrętem i ujrzał przed sobą zabudowania Morgantown.

Miasteczko leżało w obrębie kanionu. Jedyne ulica przebiegała między drewnianymi domami, których górne piętra, wysunięte poza linię frontową, ocieniały skutecznie trotuar po jednej i drugiej stronie. Tu i ówdzie rosły drzewa. Od głównej ulicy odchodziło kilka wąskich przecznic, stojące na nich domy zdawały się trzymać kurczowo stromych stoków kanionu.

Zza rogu wyłoniła się właśnie kobieta w niebieskiej sukni, obrzuciła Surratta bystrym, taksującym spojrzeniem, po czym weszła do sklepiku, nad którego drzwiami widniał napis:

ANNETTE CARVEL — KRAWCOWA

Kilka kroków dalej promienie słońca odbijały się w różnobarwnych szybach saloonu. Za nim, na następnym rogu, stał wybudowany niedawno dom z cegły. Napis na wysokim cynamonowobrazowym gzymsie oznajmiał:

WILLIAM HEAD —1887

Przy słupkach stało kilka koni, a na pograżonym w cieniu trotuarze nie widać było wielu ludzi, ci zaś, którzy przebywali na ulicy, nie sprawiali wrażenia śpieszących się dokądkolwiek.

Buck zostawił konia w stajni, mieszczącej się tuż za bankiem, i udał się do pobliskiej restauracji. Zjadł bez pośpiechu, wyszedł z powrotem na ulicę, nabił fajkę i zapalił z rozkoszą.

Miasteczko ożywiało się stopniowo. Jakiś jeździec zjawił się od strony gór i zatrzymał konia przed niewielką grupką mężczyzn stojących w górnym końcu ulicy. Kobieta w niebieskiej sukni wyszła ze sklepika, dostrzegła Bucka i nie wstrzymując kroku, ponownie wlepiła w niego przenikliwy wzrok.

Zdołał zauważyć, że jest bardzo młoda i ma czarne włosy. Jej uporczywe spojrzenie sprawiło jednak po chwili, że poczuł zakłopotanie; spieszenie odwrócił od niej oczy.

— Proszę wejść ze mną na chwilę do biura — odezwał się nagle za jego plecami czyjś głos.

Surratt odwrócił się powoli i ujrzał przed sobą krępego mężczyznę o siwych wąsach, które zwisały po obu stronach twarzy w kształcie półksiężyca.

— Jakiego biura? — zapytał.

Wzrok mężczyzny spoczął na jego biodrach i najwyraźniej ożywił się; jego również zainteresował brak pasa z bronią.

— Nazywam się Tom Bolderbuck — powiedział. — Jestem w tym mieście marszałem. — Cofnął się o krok. — W biurze czeka kilku ludzi, którzy chcieliby z panem porozmawiać.

Wszystko stało się jasne. Gdzieś w górach padł strzał, a sprawny, choć niewidzialny telegraf tej krainy bydła przekazał wieść o tragedii z szybkością wiatru. Teraz przyszła kolej na niego: przypadła mu w udziale rola, z którą zaczął liczyć się od pierwszej chwili, kiedy tajemniczy strzał wyrwał go ze snu.

— Oczywiście — odparł i udał się za nim.

Przed wejściem do hotelu stał jakiś mężczyzna, wpatrując się w nich uważnie. Grupka ludzi u wylotu ulicy zniknęła gdzieś, ale jeździec, który chwilę temu przybył do miasta, tkwił nadal obok swego konia. Surratt rozpoznał w nim teraz niskiego mężczyznę, którego spotkał o świcie na górskiej ścieżce.

Nieznajomy patrzył właśnie na Bucka, ale nic w jego wzroku nie zdradzało, że poznał go również; widniała w nim co najwyżej wrogość.

Doszli już do biura i marszał usunął się na bok, puszczając Surratta przodem.

W półmroku czekało rzeczywiście kilku mężczyzn; stali oparci o przeciwległą ścianę, wpatrując się w przybysza. W izbie panowała atmosfera pełna napięcia.

Czyjś głos zapytał od razu napastliwie:

— Pan obozował dzisiejszej nocy przy Soapstone Ridge?

— Przy jakimś wzniesieniu obok drogi — odparł Surratt. —

Nie znam tutejszych nazw.

— Słyszał pan strzał?

— Tak.

— Wie pan coś na ten temat?

— Nie.

— Gdzie pańska broń?

— W kocu na siodle.

Mężczyźni poszeptali coś między sobą, a marszał natychmiast wyszedł na ulicę.

Wzrok Surratta przywykł tymczasem do panującego w izbie półmroku. Widział teraz stół, za którym stało pięciu mężczyzn, wpatrzonych w niego nieufnie. Oprócz tego, który zadawał pytania, wszyscy inni przekroczyli już wiek określany średnim. Ten zaś był właściwie rówieśnikiem Surratta. Przewyższał

pozostałych o co najmniej pół głowy, a jego niezwykle umięśniona postać budziła respekt. Rzucił pytania precyzyjnie, z arogancją człowieka, który zawsze uzyskuje odpowiedzi i nigdy nie spotyka się ze sprzeciwem.

— Skąd pan przybył?

— Poprzednio byłem na zachód od tej pustyni.

— Pytałem: skąd?

Buck wzruszył ramionami.

— Kim pan w ogóle jest, przyjacielu? — zapytał spokojnie.

Mężczyzna zmierzył go niechętnym spojrzeniem.

— Jestem Bill Head i w dalszym ciągu oczekuję odpowiedzi: skąd pan przybył?

— Przecież już powiedziałem — odparł Surratt cicho. — Więcej nie musi pan wiedzieć.

Twarz Heada pociemniała z gniewu. Oczy płonęły, zaciśnięte mocno usta tworzyły wąską linię.

— Diabła tam pan powiedział! — wybuchnął. — A ja nie lubię, kiedy jakiś włóczęga rozmawia ze mną w ten sposób!

Przy drugim końcu stołu stał mężczyzna w niebieskim ubraniu, zbyt obszernym jak na jego figurę. Sprawiał wrażenie, jakby czuł się nieswojo w tym towarzystwie.

— Synu, znalazłeś się w paskudnej sytuacji — zaczął suchym, powściągliwym tonem. — Niech pan lepiej odpowie na to pytanie, a wtedy...

Bill Head przerwał mu gwałtownie.

— Teraz ja mówię, szeryfie!

Tamten umilkł momentalnie.

Surratt zerknął na niego z zainteresowaniem; wyglądało na to, że szeryf przyjął fakt, iż został skarcony, jako rzecz najzupełniej naturalną. Zapamiętał to sobie.

— Po co pan tu przyjechał? — kontynuował Bill Head przesłuchanie.

— Och, bez żadnego określonego powodu — odparł Surratt.  
— Tak sobie jeżdżę po okolicy.

Do biura powrócił marszał Bolderbuck. Rzeczowym tonem oznajmił:

— Broń tam jest.

Na moment zapadło milczenie, a Surratt zebrał myśli, by przeanalizować całą tę scenę, ze wszystkimi szczegółami.

Szeryf w niebieskim ubraniu był zerem, marszał niczym więcej niż zwykłym, tępym na dodatek chłopcem na posyłki. Czterej pozostali, oparci o ścianę, sprawowali tu faktyczną władzę. Widział ich jak na dłoni: starszego mężczyznę o pergaminowej skórze i łagodnych oczach, który w milczeniu żuł tytoń, przysłuchując się tylko; grubasa o tak ciemnym kolorze ciała, jakby był Indianinem; chudego dryblasza o haczykowatym nosie, który przytakiwał gorliwie każdemu słowu, i tego Billa Heada, który — jak się wydawało — stał na czele ich wszystkich.

Milczenie przerwał teraz on właśnie.

— Szuka pan pracy? — zapytał.

Ale rozmowa została przerwana po raz drugi. Do biura wszedł jeszcze ktoś, stając tuż za Surrattem. I raptem atmosfera panująca w izbie uległa zmianie. Dotychczas cała nieufność, nawet wrogość zebranych, wiązały się z osobą Bucka. Teraz ich niechęć skierowała się najwidoczniej przeciw nowo przybyłemu.

Buck odwrócił się zaintrygowany.

Przybysz, wysoki i szczupły, skwitował powszechną dezaprobatę ironicznym uśmiechem. Miał rude włosy i piegi na twarzy o barwie piaskowej, jego oczy wydawały się zielone.

Bill Head oświadczył szorstko:

— To prywatne spotkanie, Torveen.

— Właśnie słyszałem — odparł Torveen.

Wzrok Heada zdradzał niezadowolenie, ale on sam powstrzymał się od dalszych uwag.

Surratt wbił sobie w pamięć również tę scenę, a tymczasem Torveen przyglądał mu się — bacznie i zarazem z uznaniem.

Bill Head powtórzył pytanie.

— Chciałby pan dostać pracę?

— U kogo?

— Może ja bym pana zatrudnił.

— Zastanowię się nad tym.

Bill Head wysunął do przodu podbródek.

— Chwileczkę, przyjacielu! — powiedział ostro. — Pańskie odpowiedzi wydają mi się dosyć nierozważne. A może nie ma pan innego wyboru, jak tylko taki: przyjąć pracę u mnie albo pójść do więzienia?

— Czemuż to? — zapytał cicho Surratt.

— Bo ostatniej nocy był pan cholernie blisko miejsca, gdzie padł strzał. I mam zamiar zdobyć na ten temat trochę więcej informacji niż pan tu nam naopowiadał.

— A ja mam zamiar zastanowić się nad tym — odparł nie-  
dbale Surratt. Nie spiesząc się nabił fajkę, zapalił zapalną o stół i przytknął ją do główki fajki. Cierpliwie znosił taksujące spoj-  
rzenia zebranych, patrząc na nich obojętnie. Następnie prze-  
niósł wzrok na Billa — przenikliwy i ostry — odwrócił się i wy-  
szedł na ulicę.

Na moment przystanął i spojrzął niezdecydowanie na staj-  
nię, gdzie umieścił przedtem konia. Zdawał sobie jednak sprawę,  
że nie może tak po prostu odjechać. Ruszył dalej, przeszedł  
obok białego ganku hotelu. Jego uwagę przykuli gromadzący

się ludzie, których grupki stały to tu, to tam, rozprawiając o czymś z ożywieniem. Coś niedobrego wisiało w powietrzu; Buck znał ten nastrój aż nadto dobrze, zdążył spotkać się z tym w wielu innych miejscach. Przystanął na rogu, pykając w zamysleniu z fajki.

Zza drzew przy górnym końcu ulicy wyłonił się jeździec. Jechał lekkim truchtem, zostawiając za sobą tuman pyłu. Dopiero po chwili można było dostrzec, że to kobieta.

Buck obrzucił ją początkowo przelotnym spojrzeniem, ale potem zaczął przyglądać się jej ze wzmożoną uwagą.

Kobieta miała na sobie niebieskie spodnie i brązową męską koszulę, rozchyloną pod szyją. Jechała niespiesznie, siedząc w siodle z wyjątkowym wdziękiem, zatrzymała się przed słupkiem po drugiej stronie ulicy, zeskoczyła zwinnie na ziemię, podeszła pod drzwi pracowni krawieckiej i zawołała:

— Annette!

Surratt zdążył jeszcze rzucić ostatnie spojrzenie na jej twarz, zanim weszła do sklepiku. Ona również odwróciła się, patrząc na niego z uwagą, ale szerokie rondo kapelusza nie pozwoliło dostrzec wyrazu jej twarzy.

W tej samej chwili Surratt zauważył kątem oka Torveena; zbliżał się wolnym, niedbałym krokiem. Ktoś zawołał: — Cześć, Sam! — i Torveen odparł z taką samą ironią, z jaką przedtem mówił w biurze marszala.

— Cóż to, odzywasz się do takiej zakąły jak ja, Spud?!

Zatrzymał się obok Surratta i nie podnosząc zmrużonych oczu z przydrożnego piachu, powiedział spokojnym tonem:

— Słyszałem, jak oferowano panu pracę, przyjacielu. Ja oferuję inną.

— To znaczy jaką?

— No, po prostu pracę — odparł lakonicznie Torveen.

Surratt mruknął:

— Zapaściłem się w tę przeklętą okolicę tylko po to, aby nie wdawać się w żadne rozgrywki, które mnie nie dotyczą.

— Na tym polega pański pech — odparł tym samym tonem Torveen. Skrzywił twarz w uśmiechu, a w oczach pojawiły się iskierki, które pozwalały przypuszczać, że coś knuje.

— Dziękuję za propozycję — powiedział Surratt — ale myślę, że nic z tego nie będzie. Proszę mi powiedzieć, kim była ta dziewczyna.

Torveen roześmiał się cicho.

— Ma pan bystre oko, przyjacielu! O którą dziewczynę pan pyta? O Annette? Czy może o tę drugą, która przyjechała przed chwilą do miasta? To Judith Cameron. Dopiero co poznał pan w biurze marszałka jej ojca — tego starego, dobrotliwego rozbójnika z siwymi wąsami. Czy to przypadkiem nie pan twierdził, że chce uniknąć wszelkich kłopotów?

Obrócił raptem głowę, wpatrując się w górny koniec ulicy.

Buck spojrział w tę samą stronę; do miasta wjeżdżała grupa jeźdźców, wiodąc za sobą jucznego konia. W poprzek zwierzęcia leżało coś owiniętego w płachtę, przytroczone do siodła. Surratt zacisnął na moment wargi, a potem zapytał:

— Kogo wiozą ci ludzie?

Torveen obrócił się do niego; z jego twarzy zniknął nagle uśmiech.

— To facet, którego zabito ostatniej nocy w górach: Leslie Head, brat Billa. Może teraz zrozumie pan wreszcie, co tu się właściwie dzieje.



Obydwie kobiety wyszły ze sklepiku. Stały teraz w progu, patrząc na ulicę.

Surratt zauważył natychmiast troskę malującą się na twarzy Annette Carvel i niezwykłą powagę Judith Cameron. Ta ostatnia poczuła zapewne na sobie wzrok Bucka, gdyż obrzuciła go krótkim spojrzeniem i natychmiast spojrziała gdzieś w bok.

Surratt wyjął fajkę z ust, opuścił głowę i oświadczył:

— Przyjmę tę pracę... ze względów osobistych.

Torveen uśmiechnął się ponownie.

— Ja też zaoferowałem ją panu ze względów osobistych. A więc jesteśmy kwita. Niech pan weźmie swego konia, pojedzie ze trzy mile pod górę tą drogą, aż dotrze pan do ogrodzenia. Tam pan skreśli. — Urwał i dodał sucho: — To znaczy, o ile zdoła pan w ogóle opuścić to miasto. Może ktoś będzie miał coś przeciw temu.

Surratt udał się do stajni, zapłacił stajennemu za opiekę nad koniem i wyprowadził zwierzę. Jego wzrok padł na zawiniątko przytroczone do siodła. Wyjął pas spod koca, założył na biodra, następnie wyciągnął rewolwer z kabury, wprawił bębenek w ruch obrotowy, po czym wsunął broń na miejsce. Dopiero wtedy dosiadł konia i wyjechał ze stajni.

Bill Head i pozostali znajdowali się teraz przed hotelem w otoczeniu grupki przechodniów. Obok nich stał Sam Torveen, oparty niedbałe o słupek ganku i pozornie znudzony tym wszystkim.

Bolderbuck pierwszy zauważył Surratta. Odłączył się od grupy i ruszył mu na spotkanie, wymachując już z daleka rękami w geście protestu.

— Będzie pan musiał zsiąść z konia...

Surratt przejechał dalej, ignorując go. Zbliżył się do grupy

stojącej przed hotelem, zeskoczył z siodła i podszedł do Billa Heada.

— Przypuszczam, że to pan polecił marszałowi przeszukać mój koc i sprawdzić broń, czy tak?

Bill nie ukrywał zdumienia.

— Zgadza się.

Surratt ugiął nogi w kolanach. Stał teraz lekko pochylony do przodu, ręce zwisały u boków. Ktoś stojący za Billem Headem przesunął się nagle na bok. Inni — jakby czekali na umówiony znak — zaczęli spiesznie przepychać się, byle dalej od tego miejsca.

Head rozejrzał się dokoła, zmarszczył brwi, a potem przeniósł z powrotem wzrok na Surratta. Na ulicy zaległa cisza.

— Ostrzegam pana — odezwał się Buck i chociaż głos jego był zupełnie spokojny, zabrzmiała w nim wyraźnie nuta groźby. — Niech pan nigdy nie rusza moich rzeczy! Zrozumiał mnie pan? Niech pan się nie waży ich dotykać! Nigdy!

Cofnął się o krok i dosiadł konia, następnie lekkim truchtem ruszył przed siebie.

Nikt nie odezwał się nawet jednym słowem.

Sam Torveen, nadal oparty o słupek, roześmiał się bezgłośnie.

Judith z nie skrywanym zdumieniem wpatrywała się w Heada, po czym przeniosła wzrok na Bucka, znikającego właśnie za zakrętem przy końcu ulicy.

Bill stał w bezruchu, próbując opanować wściekłość. Sprawiał wrażenie zmieszanego, twarz oblewał mu rumieniec.

Do Judith podeszła Annette Carvel. Biorąc przyjaciółkę pod ramię, szepnęła jej do ucha:

— Powiedz, kim jest ten przybysz? Musisz przyznać, że jest bardzo interesujący!

## 2.

Za następnym zakretem Buck Surratt natknął się na innego jeźdźca. Mężczyzna był tęgi, siedział w siodle tak, jakby spał. Twarz zasłaniał mu czarny stetson o szerokim rondzie. Słyszac tętent kopyt mężczyzna uniósł głowę i poprawił się w siodle. Miał czarne, błyszczące oczy i olbrzymi, szpiczasty nos.

Momentalnie zatrzymał konia.

Surratt poszedł za jego przykładem i wsparł się oburącz o łąk siodła. Przez dłuższą chwilę znosił cierpliwie baczny wzrok tamtego, po czym powiedział:

— Umawiamy się, że nie widział mnie pan nigdy przedtem, Blackjack. I ja też pana nie znam. Rozumiemy się?

Tamten nie odpowiadał. Siedział nieruchomo, z rękami założonymi na masywnej piersi, sprawiając wrażenie człowieka zupełnie zbitego z tropu.

Surratt minął go i pojechał dalej. Po około trzystu metrach ujrzał ogrodzenie i wiodącą wzdłuż niego ścieżkę. Jeszcze pięć minut i znalazł się w porośniętej lasem kotlinie. Po łące wiał się strumyk, woda połykiwała w promieniach słońca. Na drugim brzegu stały zabudowania rancza: długi, niski, szary dom, otoczony szopami, stajniami i korralem, typowymi dla tej krainy bydła. Buck przejechał przez drewniany most, oznajmił swe przybycie głośnym okrzykiem i skierował się na drugą stronę domu.

Na ganku siedział mały, ciemnowłosy mężczyzna czyszcząc broń. Na krótką chwilę podniósł oczy, obrzucił przybysza bystrym spojrzeniem, po czym wrócił do swego zajęcia.

Surratt zsiadł z konia.

Tamten natychmiast uniósł głowę ponownie i zapytał, nie siląc się nawet, by zabrzmiało to względnie uprzejmie:

— Czy ktoś pozwolił panu zejść z konia?

— To ranczo Torveena?

— Tak.

Surratt wzruszył ramionami, podszedł do leżącej obok pustej skrzyni, odwrócił ją do góry dnem i usiadł. Pozornie nie dbałym ruchem wyjął z kieszeni fajkę i nabij ją, ale jego zmysły czuwały; napięte, zaalarmowane podejrzaną niechęcią siedzącego na ganku człowieka, który był już z pewnością po czterdziestce, na co wskazywały siwe włosy na skroniach. Zapalił fajkę i rzucił przy tym szybkie spojrzenie dokoła. Po lewej stronie domu rozciągała się obszerna przybudówka o czterech drzwiach, które prawdopodobnie prowadziły do kuchni i sypialni. Za jednym z okien Surratt dostrzegł twarz wyrostka, bladą i naznaczoną już piętnem okrucieństwa.

Surratt zaciągnął się głęboko. To miejsce miało w sobie coś, co wywoływało nieprzyjemne wrażenie, działało na nerwy i kazało mieć się na baczności.

Zza drzew wylonił się jeździec. Surratt podniósł głowę i ujrzał Torveena. Skręcił właśnie w jego stronę i zsiadł z konia.

Niski mężczyzna siedzący na ganku wstał natychmiast i wbił wzrok w Torveena.

— Zna pan może tego typu?

— Jasne — odparł Sam.

Twarcz tamtego przybrała jakiś gniewny wyraz. Mruknął

coś do siebie, wziął karabin i zniknął w pierwszych drzwiach przybudówki.

Torveen uśmiechnął się szeroko.

— Może dotrzecie się jakoś z Nickiem Perrigiem — powiedział beztruskim tonem. — A może i nie. To tutejszy zarządca. Niechże pan wejdzie!

Surratt wszedł za nim do długiego pustego pomieszczenia. Były tu tylko łóżko, kominek i biurko, na którym leżały liczydła i notes, oraz dwa krzesła. Szyby zaopatrzone były w drewniane okiennice, zamykane od wewnątrz. Przy łóżku stał stojak z czterema karabinami.

Torveen opadł na krzesło, oparł nogę na poręczy i zaczął kiwać nią na wszystkie strony.

— Napije się pan? — zapytał.

— Nie.

— Zdążył pan już poznać moje nazwisko, ja zaś nadal nie wiem, jak pan się nazywa.

— Buck Surratt.

Torveen nachylił się do przodu.

— Co miała znaczyć ta gra z Billem Headem?

Surratt odparł cicho:

— Chciałem po prostu zyskać na czasie na tyle, by móc wyjechać z miasta.

— A gdyby to się nie udało?

— Przecież wszystko poszło po mojej myśli.

— Ale założmy teraz, że coś poszłoby nie tak, jak pan sobie zaplanował? — upierał się Torveen.

— Zawsze obmyślałem tylko jeden kolejny krok, nic poza tym — mruknął Surratt.

— Z trudem powstrzymałem się od śmiechu — zaczął rozpamiętywać Torveen. — Oto człowiek praktycznie uwięziony w mieście podchodzi jakby nigdy nic do Billa Heada, napędza mu porządne stracha i odjeżdża, zanim tamten zdołał dojść do

siebie. Gdyby miał pan do czynienia z kimś o szybkim refleksie, przegrałby pan, przyjacielu. Ale okazuje się, że ocenił go pan właściwie, ma rzeczywiście ciężki pomyślunek. Jestem dla pana pełen uznania.

Surratt wrócił myślą do tamtej sceny w Morgantown. Uświadomił sobie nagle, że potrzebne mu są dalsze informacje.

— Kim jest ten Bill Head?

— Prowadzi ranczo Crow Track za swego ojca, kalekę. To olbrzymi szmat ziemi na północ stąd, w górach.

— Obok niego stał taki zwalisty, ciemnoskóry facet.

— Dutch Kersom, jeden z pionierów, właściciel potężnego stada bydła. O Abie Cameronie już panu mówiłem. Czwarty przyjemniaczek, ten o kościstej twarzy, to Hank Peyrolles. Gdyby policzyć ich bydło, to wspólnie posiadają jakieś osiemdziesiąt procent wszystkich zwierząt w okolicy.

— Szeryf nie sprawia wrażenia faceta, który wie, co to poczucie dumy — rozważał na głos Buck. — A marszał robi tylko to, co mu każą.

Torveen roześmiał się znowu.

— Widzę, że zna się pan na ludziach. Ale proszę mi zdradzić, Buck, dlaczego właściwie przyjechał pan do Morgantown, zamiast zawrócić od razu na pustynię. Przecież domyślał się pan chyba, że przez ten strzał wpakuje się pan tu w nieliczne tarapaty.

Surratt wpił w niego wzrok.

Torveen potrząsnął gwałtownie głową.

— Wcale nie twierdzę, że to pan strzelił. Chodzi mi tylko o to, że dał się pan wciągnąć w śmierdzącą sprawę — tym bardziej niewesołą, że jest pan tu obcy.

— A niby dokąd miałem jechać?

Torveen nie odpowiedział od razu. Wpatrywał się w Bucka

przez dłuższą chwilę, wreszcie wzruszył ramionami.

— Cóż, jest pan tu i z pewnością ma swoje powody — powiedział spokojnie. — Płaca wynosi trzydzieści dolarów miesięcznie.

Surratt skinął głową, ale myśli jego krążyły wokół dwóch osób: Nicka Perriga i tego bladego młodzieńca za oknem.

Torveen nie spuszczał z niego wzroku.

— Pański umysł nigdy nie odpoczywa, co? — stwierdził. — Zapewne wyrobił pan już sobie sąd o moim ranczu i jest tu coś, co nie daje panu spokoju, czy tak?

— Właśnie.

— No cóż, jeżeli pobędzie pan tu przez jakiś czas, rozgryzie to wszystko bez mojej pomocy. Pomoc potrzebna jest mnie, przyjacielu, ale na razie nie powiem nic więcej. Nie będę też pana prosił o zostanie tu.

Z ganku dobiegł ich głos gongu. Nadeszła pora obiadu.

— Pójdziemy coś zjeść — powiedział Torveen.

Wstał i udał się przodem do przybudówki. W jadalni siedziało już przy stole trzech mężczyzn, a pod ścianą stał nadzwyczaj gruby Chińczyk. Wkrótce zjawił się, czwarty kowboj.

Zerknął z ciekawością na Surratta i zasiadł do stołu.

Buck przysunął sobie krzesło i usiadł, a Torveen wyjaśnił:

— Ten nowy to Buck Surratt. — Następnie przedstawił wszystkich po kolei. — Perriga, tę łagodną duszę, już pan poznał. Ten chłopiec nazywa się Ferd Bowie, osiłek, który siedzi obok niego, to Chunk Osbrook. Może to jego prawdziwe nazwisko, nawet nie wiem. A ten na końcu reaguje na imię Ed.

Mężczyźni podnieśli na moment wzrok na Surratta, po czym bez słowa zabrali się do posiłku. Jedzenie wniósł Chińczyk o imieniu Wang. Po obiedzie Buck wypalił na ganku fajkę, poszedł do swego konia i przyniósł sobie koc. Przez cały czas czuł na sobie oczy wszystkich ludzi Torveena. Wrócił do przybudówki i w ostatnim pomieszczeniu ujrzał tuzin piętrowych prycz, piec, stół i cztery krzesła. Rzucił koc na wolną pryczę i wyszedł z powrotem na ganek.

Nick Perrigo siedział w samym rogu werandy, obejmując ramionami podciągnięte wysoko nogi. Jakby od niechcenia rzucił głośno:

— Chunk, zostawiłeś chyba tytoń w sypialni.

Chunk Osbrook zerwał się natychmiast na równe nogi, jakby zadowolony, że nie musi dłużej czekać. Szybkim krokiem wszedł do przybudówki.

Surratt czuł wyraźnie, że inni spodziewają się czegoś.

W sypialni rozległ się łoskot, jakby coś spadło na podłogę.

Surratt odwrócił się i powiódł wzrokiem po pozostałych: siedzieli nieruchomo, podstawiając twarze pod słońce i unikając tak starannie, jak to tylko było możliwe, jego spojrzenia. W dalszym ciągu czekali. Zawsze to samo, pomyślał z żalem. Stało się to już nieodłącznym składnikiem jego życia — chyba już na zawsze. Wszedł do sypialni.

Jego koc leżał na podłodze, tam gdzie rzucił go Chunk Osbrook. „Osilek”, jak nazwał go Torveen, stał przy stole na lekko rozstawionych nogach. W jego oczach zapłonęły ogniki, kiedy oświadczył:

— Pańskie rzeczy mi przeszkadzały.

Surratt obszedł stół. Izba nie była zbyt duża, musiał więc skulić się trochę, aby nie potrącić Osbrooka.



Chunk obrócił się do niego. Na jego twarzy odmalowało się coś jakby zwątpienie.

Stół znajdował się teraz między nimi. Surratt pochwycił go oburącz. Wiedział, że musi to zrobić, nie mógł już wykreść się od tego. Jego głos był zupełnie spokojny i beznamiętny, kiedy powiedział:

— Wydaje mi się, że inni nie chcieliby tego przegapić, Chunk.

Jednym ruchem przewrócił stół i cisnął nim w przeciwnika.

Osbrook odgarnął go mocarnym ramieniem.

Dopiero teraz Buck poczuł napływ wściekłości, która stłumiła chwilowo inne uczucia. Rzucił się na Osbrooka, uderzył go ramieniem w pierś i pchnął całym impetem na drzwi. Osbrook zatoczył się, zdążył jednak zadać potężny cios w brzuch. Przez dłuższą chwilę walczyli zawzięcie, dźgając się na oślep łokciami i kolanami. Wreszcie Buck zdołał wypchnąć przeciwnika przez drzwi na ganek. Osbrook runął do tyłu, padając całym ciężarem na ramię. Surratt natychmiast wyskoczył za nim na podwórze, uskakując jednocześnie na bok. Osbrook, który podniósł się już na kolana, usiłował chwycić go za nogi, ale jego chwyt okazał się spóźniony. Zerwał się i ruszył do ataku. Surratt, przygotowany na to, odparł atak, zrobił zwinny unik, uwalniając się z uścisku, i uderzył Chunka w skroń. Osbrook zachwiał się, zamroczony, a jego pięści wydały się raptem pozbawione siły; uderzały bezładnie, nieskutecznie. Surratt trafił go znowu w skroń i tym razem Osbrook runął na ziemię. Instyktownie poderwał się na kolana, sięgając ponownie do nóg Bucka, ale Surratt odepchnął jego ręce silnym kopniakiem, chwycił go za kark i szarpnął do góry. Nie czuł żadnej litości, kiedy zaczął bić go wolną ręką po twarzy. Z ust Osbrooka ściekała krew, a kiedy Surratt puścił go, upadł ciężko jak wór. Jeszcze

raz poruszył niepewnie ręką, jakby chciał zadać swemu pogromcy cios, ale niemal natychmiast opuścił ją bezwładnie i znieruchomiał. Surratt postąpił kilka kroków do tyłu i odwrócił się.

Reszta nadal stała w bezruchu — tak jak w trakcie bójki — ale postawa każdego z nich była aż nadto wymowna. W oczach Ferda Bowi'ego błyszczała nienawiść, Nick Perrigo wpatrywał się uparcie w czubki własnych butów, a Ed opierał się o ścianę domu najwidoczniej przerażony. Sam Torveen stał w drzwiach, na ustach błąkał mu się niewyraźny uśmiech. Stał za plecami innych i dlatego żaden z nich nie zauważył, jak unosi dłoń — tak jakby chciał zsalutować przed Surrattem.

Buck wiedział już, że na ranczo jest trzech mężczyzn, którzy respektują wyłącznie siłę: Perrigo, Bowie i Chunk Osbrook. Z pewnością nie wiedzieli nawet, co to współczucie lub wspaniałomyślność. Zerknął na Osbrooka, który właśnie usiłował stanąć na nogi, po czym natychmiast przeniósł wzrok na ganek.

— To już wszystko, czy też pozostało jeszcze coś do załatwienia?

Ale tamci nie mieli mu już nic do powiedzenia.

Dopiero teraz skutki bijatyki dały mu się we znaki. Podczas walki nie czuł w ogóle ciosów Osbrooka. Ból przyszedł wraz z odprężeniem.

• • •

Zapadający zmierzch oblał łąkę siną poświatą. Gdzieś w górach zawył kojot. Od wierzchołków Gray Bull powiał słaby wiatr; brzmiało to tak, jakby z oddali dobiegał szum wodospadu. I raptem zrobiło się ciemno. W mroku widać było tylko jasnożółte punkciki — światła rancza.

Na moście zadudniły kopyta, a po chwili na podwórze wjechał Ferd Bowie. Zeskoczył z konia.

— Wszystko w porządku — zameldował.

Na ganku majaczyły postacie kowbojów. Jeden z nich pstryknął w powietrze niedopalek papierosa. Czerwona, błyszcząca plamka zakreśliła w górze szeroki łuk. Do tej pory czekali, teraz nadeszła pora działania. Wszyscy wstali. Sam Torveen poleciał niemal szorstkim głosem: — Wejdźcie do środka! — Wszedł do obszernego pomieszczenia, a za nim pozostali.

Surratt usłyszał teraz tętent kopyt na drodze.

Torveen stał pośrodku pokoju. Rude kosmyki opadały mu bezładnie na czoło, twarz skrzywił w nikłym uśmiechu.

— Część z was zostanie tu, reszta wyjdzie przed dom, Ed, staniesz na straży przy rogu budynku. — Zwrócił na Surratta nieco rozbawione spojrzenie. — Przybył pan tu z powodów osobistych, przyjacielu. Cóż, wygląda na to, że za chwilę te powody staną przed nami.

Podszedł do ściany, zamknął okiennice i założył belki, po czym wrócił do stołu, zdjął z niego lampę i postawił ją w kącie, by blask światła nie wydostawał się na zewnątrz.

Perrigo, Bowie i Chunk Osbrook rozdzielili się, zajmując pozycje w różnych miejscach pokoju.

Deski mostu zadudniły pod kopytami koni, potem wszystko ucichło. Czyjś głos, który wydał się Buckowi znajomy, zawołał sprzed domu:

— Hej, Torveen, chciałbym z panem pogadać!

Sam podszedł do drzwi i zatrzymał się. Nadal sprawiał wrażenie rozbawionego.

— Może pan wejść, Bill.

Po tych słowach cofnął się o kilka kroków. Do środka weszło kilku mężczyzn.

Surratt rozpoznał wśród nich Billa Heada i szeryfa. Pozostałych nie znał.

Bill Head rozejrzał się dokoła i wreszcie jego spojrzenie padło na Bucka. Widocznie przypomniał sobie incydent w Morgantown, gdyż momentalnie spochmurniał. Twarz nabiegła mu krwią, gdy powiedział do Surratta:

— Niech pan zbierze swoje rzeczy; pojedziemy do Morgantown.

Torveen uśmiechnął się do niego przyjaźnie.

— Dziś rano zaferował pan temu człowiekowi pracę u siebie, Bill. Dlaczego?

— Żeby mieć go na oku.

— Teraz pracuje u mnie, a więc ja będę miał go na oku.

— Nie — warknął Head. — On jest aresztowany.

Torveen zwrócił się do szeryfa.

— Ma pan nakaz aresztowania, Ranier?

— Tak.

— Na jakiej podstawie? — zapytał spokojnie Surratt.

— Takiej, że zabił pan człowieka o nazwisku Leslie Head — odparł Ranier.

— Może pan spokojnie podrzeć nakaz aresztowania — poradził mu Torveen.

Bill Head odwrócił się do niego i wykrzyknął:

— Co takiego?

— Ten człowiek nie pojedzie z wami.

Przez dłuższą chwilę w izbie słychać było tylko ciężki oddech zebranych. Szeryf stał niezdecydowany. Bill Head zdawał się rozmyślać nad czymś intensywnie.

Surratt znalazł teraz potwierdzenie swego osądu: ten człowiek reagował powoli, sprawiał jednak wrażenie niezwykle upartego.

— To niedobrze, Torveen — powiedział wreszcie Head.

Ale Torveen wyjaśniał dalej tonem tak pogodnym, jakby mówił o czymś zupełnie innym:

— Zawsze staram się osłaniać swoich ludzi. Powinien był pan o tym wiedzieć przed przyjazdem do mnie. Powinien był pan również domyślać się, że ten nakaz nic panu nie da. Jeżeli chce pan wziąć ze sobą Surratta, będzie pan musiał użyć siły. A więc czekam, szeryfie. Jaka będzie pańska decyzja? Chce pan zabrać go siłą?

Na czole Raniera perliły się grube krople potu. Niemal błagalnie wpatrywał się w Heada, jak gdyby spodziewał się jakiejś pomocy z jego strony.

Ferd Bowie poruszył się niespokojnie.

Head odparł głosem nie znoszącym sprzeciwu:

— Nie. Nie chcemy dopuścić do użycia broni. To zbyt cenne. — Zwrócił się wprost do Surratta. — Radzę przemyśleć sobie to wszystko jeszcze raz. Niech pan przyjedzie jutro do Morgantown. Nie ma pan innego wyjścia. Jeżeli nie zjawi się pan w mieście w ciągu dwunastu godzin, uznam pana za wyjętego spod prawa.

— To się nazywa wyrazić się jasno — zauważył Torveen.

Po twarzy Heada widać było, jak bardzo dotknęła go ta uwaga. Nie tając rozdrażnienia, powiedział:

— Niech pan się lepiej zajmie własnymi sprawami, Sam, i to dokładnie! Chodźcie, ludzie, idziemy stąd!

Wyszli jeden za drugim.

Surratt nasłuchiwał jeszcze przez chwilę cichnącego szybko dudnienia kopyt. W izbie panowało milczenie, dopóki nie przebrzmiał ostatni odgłos. Potem nadszedł Ed i wsunął do środka głowę. Torveen spojrzał na niego.

— Obejmiesz teraz wartę na moście i zejdziesz stamtąd wtedy, gdy ktoś cię zluzuje.

Dopiero to wyrwało ich z odrętwienia. Ed wyszedł z powrotem

na ganek. Perrigo wyprowadził z pokoju Ferda i Chunka, a Torveen odwrócił się do Surratta. Jego twarz była teraz poważna.

— Przyjechał pan tu, bo chciał pan zapewnić sobie moją opiekę. Wiedział pan doskonale, że mogę się panu przydać. No i użyczyłem jej panu. Jeśli pan chce, może pan ruszyć dalej. Nie będę pana zatrzymywać.

— Nie zwykłem uchylać się od swoich zobowiązań — mruknął Surratt.

— Tak też myślałem — odparł Torveen. — No cóż, powiedziałem panu przedtem, że i ja mam powody osobiste. Przyjdzie pora, że pozna je pan. Jeżeli chodzi o moich ludzi... no, myślę, że wie pan doskonale, jacy oni są. Ale czeka mnie zacięta walka i nie mogę sobie pozwolić na to, by przebierać w nich za bardzo. — Chciał coś dodać, ale widocznie rozmyślił się, bo zamknął usta i dopiero po chwili zauważył: — Może pan postępować z nimi według swojego uznania, ja nie będę się do tego wtrącał. Nie muszę też chyba pana ostrzegać.

Surratt opuścił pokój i wszedł przez ganek do sypialni.

Osbrook leżał na pryczy podobnie jak Perrigo. Ferd Bowie siedział przy stole i rozkładał karty.

Nikt nie patrzył na Bucka, kiedy rozwijał koc i ściągał buty, on jednak wiedział doskonale, że obserwują ukradkiem każdy jego ruch. Wyciągnął się na łóżku jak długi, wpatrując się przed siebie. Ci kowboje odnosili się do niego od samego początku z niczym nieuzasadnioną wrogością, a jednak przed chwilą pomogli mu. Zastanawiał się nad tymi faktami, chcąc znaleźć jakiś motyw takiego postępowania, ale bezskutecznie. Widocznie tacy już byli: uznawali tylko siłę. Łagodne postępowanie było dla nich czymś niezrozumiałym. Pojął nagle, co ma zrobić.

Odwrócił głowę i zawołał do Ferda ostrym tonem:

— Niech pan zgasi wreszcie to światło!

Bowie drgnął gwałtownie. Nienawiść wypełniała go całego, zdawała się nawet wylewać na cały pokój. Nie mogąc opanować się dłużej, wykrzyknął:

— Do diabła, po co pan tu w ogóle przybył?!

Surratt uniósł się trochę na łożku. Jeszcze bardziej bezwzględnie zagroził:

— Jeżeli będę musiał wstać, mały, to złożę ci skórę! No, jazda! Zgaś to światło!

Chłopiec odepchnął nogą krzesło i wstał.

Perrigo leżał na swojej pryczy jakby oniemiały, obserwując z napięciem całą scenę.

Bowie podszedł do lampy i zdmuchnął płomyk. Następnie bez słowa wyszedł z pokoju ciężkim krokiem.

Po chwili wstał Perrigo. Cicho wywołał Osbrooka i razem wyszli na zewnątrz. Gdzieś w głębi trzasnęły drzwi, potem rozległy się podniesione głosy — tak jakby sprzeczały się z Torveenem.

Buck zrozumiał: Torveen zatrudnił tych ludzi — byli mu potrzebni. Ale teraz wyglądało na to, że stracił nad nimi kontrolę. Może właśnie dlatego postanowił ściągnąć do siebie również jego, Surratta. Zatonął w myślach. Chciał rozważyć to wszystko. Był jednak zbyt znużony — i wreszcie zapadł w głęboki sen.

### 3.

Kiedy następnego ranka Buck wyjechał na przejażdżkę, aby rozejrzeć się trochę po okolicy, spotkał Judith Cameron. Siedziała na dereszowatej klaczy i miała na sobie to samo ubranie, co w Morgantown.

— Dzień dobry, panno Cameron — pozdrowił ją, uchylając grzecznie kapelusza.

Uśmiechnęła się i zawołała w odpowiedzi:

— A ja zastanawiałam się już, czy pan sobie mnie przypomni.

— A dlaczego miałbym sobie nie przypomnieć?

— No, wydaje mi się, że wczoraj rano miał pan na głowie całą masę innych spraw.

— Nazywam się Buck Surratt.

— Właśnie chciałam pana o to zapytać — szepnęła.

— Co to za dolina, tam niżej? — Wyciągnął rękę przed siebie.

— Posiadłość mojej rodziny.

— A co jest za tamtym wzniesieniem?

— Inna dolina. Należy do Peyrollesów. — Ruchem głowy wskazała na wyżej położony, zalesiony teren na wschodzie. — A jadąc w tamtą stronę, dotrze pan na ziemię Heada, Martina Heada, ojca Billa. — Spojrzała mu prosto w oczy. — I również ojca Leslie'ego, tego który został zastrzelony tamtej nocy w pobliżu pańskiego obozowiska.



— Moje ognisko było już wtedy od dawna wygasłe — odparł.

Energicznym gestem uniosła podbródek.

— Przybyłam tu umyślnie po to, aby porozmawiać z panem na ten temat.

— Skąd pani wiedziała, że będę tędy przejeżdżał?

— Jechałam za panem, odkąd opuścił pan rancho Torveena.

Jego podziw dla tej dziewczyny wzrósł jeszcze bardziej, postanowił jednak milczeć i poczekać na jej dalsze słowa.

— Czy ten strzał zainteresował pana, Buck? — zapytała.

Nabił fajkę i zapalił, zastanawiając się nad jej pytaniem. Jej twarz przybrała raptem wyraz powagi. Spoglądała na niego przenikliwie. W końcu odparł:

— Owszem. I rozejrzałem się tam trochę.

— Zszedł pan do chaty?

— Tak.

— Był pan w środku?

— Tak — powtórzył.

Jej następne pytanie padło błyskawicznie.

— Czy znalazł pan coś w tej chacie, Buck? Czy znalazł pan coś i zabrał ze sobą?

Zatopił w niej wzrok pełen uznania. Musiał przyznać, że fascynowała go. Znał wiele kobiet, ale żadna z nich nie miała tyle uroku, co ona.

— Proszę mi to dać, Buck! — powiedziała.

— Wielu ludzi obdarzało mnie zaufaniem — odparł.

Poprawiła się w siodle.

— Ja również zaufam panu, o ile przywiązuje pan do tego wagę.

— Co to był właściwie za człowiek ten Leslie Head? — zapytał.

Jej twarz przybrała raptem wyraz niechęci i goryczy.

— O zmarłych nie należy mówić źle — mruknęła.

— Czy miał wrogów?

— Na pewno nie miał przyjaciół.

— Mieszkał w tamtej chacie?

— Nie. W górze, na ranchu Heada.

— W takim razie co robił tam nocą?

Nie odpowiedziała. W milczeniu wpatrywała się przed siebie, w odległe góry.

Surratt niemal z zalem przerwał ciszę.

— Dla człowieka takiego jak ja świat jest długi i szeroki. Właściwie powinienem ruszyć dalej, bo obawiam się, że jeżeli zostanę tu dłużej, znajdę się w takiej samej sytuacji, w jakiej bywałem już nieraz.

— Dlaczego więc pan nie odjeżdża?

— Sam Torveen wyświadczył mi pewną przysługę.

— A pan zawsze spłaca swoje długi, czy tak?

— Gdybym tego nie robił — odparł powoli — oznaczałoby to, że jestem tylko nędznym człowieczkiem bez poczucia dumy. Duma zaś to rzecz niezbędna dla ludzi takich jak ja, gdyż poza nią nie możemy mieć nic innego.

— Prawie to samo pomyślałam sobie, kiedy zobaczyłam w Morgantown, jak staje pan naprzeciw Billa Heada. — Uniosła ramiona, a Buck z mimowolnym zachwytem obrzucił wzrokiem łagodne kształty jej ciała. — Sam Torveen jest w porządku. Jego ludzie mogą budzić pewne wątpliwości, ale Sam jest... — urwała, szukając w myślach odpowiedniego określenia, i nagle spojrzała na niego zaskoczona: — ...jest jak pan! Pasujecie do siebie! Tyle tylko, że on trzyma się z dala od całego świata z uśmiechem, a pan — zachowując twarz pokerzysty.

— Lubię go — przyznał.

— Pasujecie do siebie — powtórzyła, a potem dodała cicho:

— Bill Head zwołał na dzisiejszy wieczór zebranie największych ranczerów z okolicy. Spotkają się u niego w domu. Samowi przyda się ta wiadomość.

— Przekażę mu ją. A jeżeli chodzi o tę inną sprawę, o której mówiliśmy...

— Powiedziałam przecież, że i ja panu zaufam — wpadła mu w słowo. — Niech więc tak zostanie.

Skinął głową i chciał ruszyć do przodu, ale Judith zawołała:

— To, co ujrzał pan do tej pory, wystarczyło chyba jako przestroga. Ale tu w okolicy dzieją się także inne rzeczy, o których nic pan jeszcze nie wie. A z Billa Heada uczynił pan sobie wroga. On nie należy do ludzi, którzy tak łatwo zapominają i wybaczą. Powinien pan o tym stale pamiętać.

— Z pewnością nie zapomnę o tym, panno Cameron.

— Mam na imię Judith — powiedziała spokojnie.

— Tak — odparł. — Wiem. W Piśmie Świętym też jest mowa o kobiecie, która ma na imię Judith. Często o niej myślałem.

Spuściła wzrok, jej twarz oblał rumieniec. W następnej chwili trąciła konia piętami i ruszyła ścieżką w dół.

Buck spoglądał na nią tak długo, dopóki nie zniknęła w dali, potem wrócił na ranczo. Był do tego stopnia zatopiony w rozmyślaniach, że o mały włos nie zleciał z siodła, kiedy koń nieoczekiwanie wierzgnął, spłoszony hukiem wystrzału. Potem zareagował już instynktownie: zsunął się na ziemię, przeturlał kilkakrotnie i znieruchomiał u podnóża potężnej sosny. Koń zatrzymał się nie opodal.

Buck zerknął w stronę, skąd padł strzał. Mniej więcej dwieście metrów dalej dojrzał korzenie zwałonej sosny. Zerwał się z miejsca i puścił pędem do innego drzewa. Stamtąd przeczesał wzrokiem całą okolicę, cał po calu, po czym ostrożnie,

wykorzystując każde wzniesienie, zaczął przesuwać się w stronę leżącą na ziemi sosny. Zatrzymał się za pniakiem. Teraz widział korzenie sosny od przodu, nie poza tym. Ale tam, gdzie dawniej tkwiły korzenie, była teraz spora wyrwa. Może ktoś się w niej ukrywał? Bez wahania skoczył w tamtą stronę.

I raptem osłupiał ze zdumienia.

W wyrwie siedział Perrigo, trzymając na kolanach karabin. Spostrzegł Surratta, ale nie ruszył się nawet na krok.

— Ma pan kilka cholernie złych nawyków, Nick — powiedział Buck. — A to jest jeden z nich. Nie lubię ludzi, którzy czyhają na swoją zdobycz w ukryciu.

— Żle pan ocenił tę sytuację, mister — oparł Perrigo. — Gdybym chciał pana trafić, celowałbym w pana, nie w ziemię.

— Tak? A więc chciał mi pan tylko napędzić stracha, czy tak?

Perrigo wstał, oparł kolbę na czubku buta i zakrył wylot lufy dłonią. Był tak niski, że musiał odchylić głowę, aby móc spojrzeć Surrattowi w oczy. Fakt ten wzmógł jeszcze bardziej jego wściekłość. Cofnął się o kilka kroków.

— A ja nie lubię obcych, musi pan to wiedzieć.

— Domyślałem się tego już wczoraj wieczorem — odparł sucho Buck.

— Ciekawe, czemu spotkał się pan tam w górze z córką Camerona — zmrużył oczy Nick. — Bo według mnie, nie wyglądało to wcale na przypadek.

— I to pana niepokoi?

Perrigo odparł z podejrzanym spokojem:

— Nie tylko to. Jest jeszcze wiele innych rzeczy. Na przykład nie podoba mi się, że pan tu jest. Wie pan o wiele za dużo

na temat tego nocnego strzału. — Wlepił w Surratta przenikliwy wzrok, po czym krzyknął: — Co pan o tym wie?!

— Czyżby ta sprawa pana interesowała?

Perrigo zacisnął wargi. Na jego zasuszonyj twarzy odmalowało się coś jakby strach.

Surratt wbił to sobie w pamięć. Tonem trochę bardziej pojednawczym zaproponował:

— Powinniśmy chyba spróbować się pogodzić, ponieważ przez jakiś czas posiedzę u Torveena. Ale gdybyśmy mieli nadal być wrogami, to chciałbym wiedzieć o tym już teraz, Nick.

— Coś mi się widzi, że jest pan człowiekiem Heada — burknął Perrigo.

— I tu pan się myli. Jak mógłbym być jego człowiekiem? Przecież wczoraj wyzwałem go, czyż nie tak?

— Kogoś takiego jak Bill Head nie można tak po prostu wyzwać — odparł Perrigo. — To niemożliwe. Chyba że ta cała scena została sfingowana.

— Więc jak, pogodzimy się czy nie?

— Do diabła z panem! — Wybuchnął nagle Perrigo. — Pobił pan Chunka Osbrooka i potraktował Ferda Bowie'ego jak małego chłopca. Ale niech panu nie przyjdzie czasem do głowy, by postąpić tak samo ze mną! Prowadzę to ranczo dla Sama Torveena i nie ścierpię nikogo, kto chciałby mnie wygryźć. Jeżeli pan zostanie, to pod warunkiem, że ja wydaję rozkazy. Czy to jasne?

— Nie.

— A więc niech się pan pilnuje! — warknął Perrigo.

— Chciałbym mieć jasną sytuację.

— No to już ją pan ma.

Perrigo wygramolił się z jamy, podszedł do konia spętanego

w pobliskich krzakach, wskoczył na siodło i odjechał.

Surratt udał się w drogę powrotną na ranczo, bijąc się z myślami. Przed domem nie było żadnego z kowbojów. Sam Torveen natomiast siedział w biurze, patrząc przed siebie. Z wyraźną ulgą powiedział:

— A więc jednak pan wrócił?

— Czyżby wątpił pan w to. Sam?

Torveen wzruszył ramionami.

— Szczerze mówiąc, nie mógłbym mieć panu za złe, gdyby ulotnił się pan stąd natychmiast.

Surratt wyjął z kieszeni fajkę, nabił ją i zapalił, po czym oświadczył:

— Mam przekazać panu informację, że Bill Head zwołał na dzisiejszy wieczór zebranie ranczerów w swoim domu.

— To znaczy, że rozmawiał pan z Judith — stwierdził Torveen, tym razem gniewnie, z wyraźną irytacją. — Wszędzie pana pełno, przyjacielu.

— Ma pan coś przeciwko temu?

Torveen wstał.

— Do diabła, dajmy temu spokój, Buck. Jestem nerwowy jak puma, ale nie będę przecież mówić komuś takiemu, jak pan, co ma robić a co nie.

Surratt uśmiechnął się.

— Kiedy właściwie napił się pan po raz ostatni czegoś dobrego, Sam?

— Gdyby to mi miało pomóc, spiłbym się już dawno na umór. A więc Bill zwołał wszystkich na zebranie, tak?

— Pan też się tam wybiera?

Pytanie najwidoczniej ubawiło Torveena.

— Judith nie po to przysłała mi tę wiadomość, Buck. Nie,

my nie będziemy reprezentowani na tym zebraniu. Dzisiejszej nocy będziemy zupełnie gdzie indziej. — Zaczerpnął głęboko tchu i znowu spoważniał. — Myślę, że już wkrótce będzie pan miał sposobność przekonania się, o co mi chodzi. Niech pan się trzyma mnie, Buck, zapowiada się niezła zabawa.

#### 4.

Coś wisiało w powietrzu i Surratt domyślił się już dawno, na czym polega problem Torveena. Wiedział, dlaczego ranczer szuka pomocy.

Kowboje wyruszyli jeszcze przed zapadnięciem nocy, aby przyprowadzić na pastwiska Torveena owce! Nie ulegało wątpliwości, że zanim ich zapach dotrze do Morgantown, wieść o tych kędzierzawych przybyszach rozejdzie się po całej okolicy.

Było już sporo po północy, kiedy wszyscy wrócili na ranczo. Surratt odczekał chwilę i wszedł do kantorka, gdzie za biurkiem siedział Torveen. Był poważny, jego dotychczasowa beztroska zniknęła gdzieś bez śladu.

— No, teraz już pan wie, co jest, grane, przyjacielu Buck.

— Tak wiem — odparł Surratt, podchodząc do kominka.

— Może jest pan ciekawy, dlaczego nie powiedziałem O tym wcześniej — mówił dalej Torveen. — Same owce były temu winne. Pan nie jest owczarzem, Buck, to widać od razu. Ja też nie cierpię tych cholernych beczących wełniastych łbów! I liczyłem się z tym, że jeśli wspomnę o nich choćby słówko, nie zobaczą pana więcej.

— Niech mi pan powie, Sam, czy brał pan kiedyś udział w strzelaninie?

— Nie.



— Ja mam pewne doświadczenie pod tym względem — mruknął Surratt. — I myślę, że pan również będzie miał niedługo okazję, by przekonać się, jak taka walka wygląda.

— A więc wie pan już, w czym tkwi szkopuł?

— Pewnie. Wprowadza pan owce do krainy bydła. Nietrudno przewidzieć reakcję innych. Gniew piekiel jest niczym w porównaniu z wściekłością hodowcy bydła, który widzi, jak po jego pastwisku chodzą sobie owce. Mogę sobie wyobrazić aż nadto wyraźnie, co się stanie. W tym wszystkim dziwi mnie tylko jedna rzecz: dlaczego dobrowolnie pakuje się pan w kłopoty?

Torveen wyprostował się.

— Cóż, jestem jeszcze młody, a młodzi ludzie mają rozmaite pomysły i odrobinę ambicji. Odkąd przejąłem rancho po moim ojcu, byłem zawsze drobnym, niepozornym ranczerem, na którego inni spoglądali z pogardą. W porównaniu z takimi pionierami, jak Martin Head, Cameron, Kersom czy Peyrolles byłem niczym. Już jako dzieciaki mieli do czynienia z bydłem, wychowywali się wśród tych zwierząt i nie znają się na niczym innym. Nie mają też zielonego pojęcia, co dzieje się za tymi górami. Zresztą nie interesują się tym. Ale ja dowiadywałem się, jak radzą sobie hodowcy w innych stronach. Owce żyją w zgodzie z bydłem i wkrótce będzie ich tu jeszcze więcej, napłyną zewsząd w takiej ilości, że trudno to sobie wyobrazić. Przecież te góry to wymarzony teren dla owiec) Hodując jednocześnie bydło i owce, można w krótkim czasie stworzyć duże rancho. Dla młodego hodowcy to najprostsza droga do dobrego startu.

— I zarazem najłatwiejsza do utraty ranca — stwierdził sucho Buck.

— Dawniej miałem tu wielu przyjaciół — powiedział Torveen,

nie kryjąc irytacji. — Ale odkąd dowiedziano się, że myślę o owcach, wszyscy zerwali ze mną kontakty. Odstraszone nawet moich ludzi. Musiałem zatrudnić nowych, ale Bóg jeden wie, że nie jestem dumny z tej bandy, jaką udało mi się zwerbować. Faktem jednak jest, że to ludzie twardzi, a takich właśnie teraz potrzebuję. Perrigo pracował dawniej dla Heada — aż kiedyś zastrzelił jakiegoś faceta i został z miejsca wyrzucony. Temu typkowi nie ufam nawet za grosz: nie ma pojęcia, co to moralność albo skrupuły, ale za to potrafi cholernie dobrze posługiwać się bronią. Chunk Osbrook z kolei został wyrzucony z rancha Camerona i przysłał do mnie. Chyba teraz już pan się domyśla, jaką mam tu opinię. Ed jest jedynym z moich dawnych kowbojów — Torveen wstał i długimi, szybkimi krokami zaczął przemierzać pokój od ściany do ściany. — Do diabła z nimi! Mam na myśli tych starych pionierów. Sprowadziliśmy tu owce i tym samym rozpoczęła się nasza zabawa. Pokażemy im, na co nas stać!

Surratt wpatrywał się w niego przenikliwym wzrokiem, oceniając jego zapal i energię, po czym powiedział cicho:

— Ma pan określony powód, by starać się o wielkie rancho, o to, by dorównywać innym, prawda?

Torveen machnął niecierpliwie ręką.

— Nie ma takiego prawa, które zabraniałoby komuś być ambitnym, przyjacielu. Jestem za młody, aby zadowolić się jakimś nędznym skrawkiem ziemi..

Mówił zdecydowanym tonem, ale twarz oblał mu rumieniec.

— Pewnie, że chodzi mi o to, by mieć duże rancho i równie duże konto w banku w Morgantown. Ab Cameron może w każdej chwili wypisać czek na sześciocyfrową sumę i zrealizować

go, gdzie mu się tylko spodoba. Ja chciałbym dokładnie tego samego.

— Ten powód jest dla mnie zrozumiały — wtrącił Surratt.

Torveen wybuchnął nagle.

— Do diabła, ma pan zbyt bystry wzrok, Buck! Potrafi pan dostrzec w ludziach więcej niż by sobie tego życzyli.

— I to się panu nie podoba, tak? — zapytał spokojnie Surratt.

— Wyświadczyłem panu przysługę, Buck — odparł Torveen, nie namyślając się długo. — Nie mam jednak zamiaru, przypominać panu o tym kiedykolwiek. Może pan odjechać stąd w każdej chwili, jeśli wola.

Surratt odłożył powoli fajkę na stół.

— Zapomnijmy o tym, co pan przed chwilą powiedział — rzekł ostro.

Torveen uśmiechnął się.

— O czym my tu w ogóle rozprawiamy, Buck? Do diabła z tym wszystkim!

— Masz rację. — Na twarzy Bucka pojawiło się również coś w rodzaju uśmiechu. — Do diabła z tym wszystkim! Czekają nas drobna partyjka pokera i na pewno nie będzie to zabawa dla dzieci. Może rzeczywiście przydam się panu, bo grałem w to już niejedną raz w moim życiu. — Umilkł, a potem dodał ciszej: — Pan jeszcze tego nie zna, ale potem, po skończonej zabawie, będzie pan zupełnie innym człowiekiem. Może też będzie pan żałować, że dał się w nią wciągnąć.

Torveen milczał przez chwilę. Zerknął na Bucka, potrząsnął głową, a potem zmienił temat.

• • •

Owce sprowadzono w góry bez kłopotu, ale nie udało się tego

dokonać skrycie. Jedną z osób, która to dostrzegła, była Judith Cameron. Długo spoglądała na ciągnące stado, po czym natchmiast zawróciła na ranczo.

Inny obserwator pozostał w swej kryjówce wśród zarośli. Żując tytoń, zastanawiał się nad wagą zdarzenia, którego był świadkiem. Człowiekiem tym był Blackjack Smith.

## 5.

Stary Martin Head, właściciel rancza Crow Track, siedział na ganku, trzymając bezwładnie nogi pod kocem, i pochłaniał wzrokiem krajobraz, który rozciągał się w dole. W zapadającym zmierzchu widział światła rancza Camerona, jak również otynkowane na biało ściany domostwa Peyrollesa w następnej dolinie. Cały świat zdawał się leżeć u jego stóp — i o to mu właśnie chodziło, gdyż Martin Head wyrósł w górach Tennessee i nie znosił równin.

Krótko przed nastaniem zmroku dojrzał jeźdźców gromadzących się na drodze Camerona i skręcających w stronę Crow Track. Zawołał syna.

Bill Head wyszedł z domu i stanął przed ojcem, przyglądając mu się w milczeniu.

— Będziemy mieli gości — odezwał się Martin. — Co się stało?

— Zaprosiłem ich tu. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

Stary zaciągnął się cygarem i pokręcił głową.

Jeźdźcy zatrzymali się przed domem, na wprost werandy. Byli to: Cameron, Dutch Kersom, Hank Peyrolles i Henry Rancier.

Martin znał ich wszystkich już od wielu lat, mimo to pozdrowił ich z uprzedzającą grzecznością.

Bill podniósł ojca wraz z fotelem i przeniósł do salonu.

Kiedy stawiał fotel przed kominkiem, nic nie wskazywało, że zmęczył się; nie był nawet zadyszany. Goście weszli za nimi, a Dutch Kersom, chociaż sam nie ułomek, zauważył z podziwem:

— Masz siłę niedźwiedzia. Bill!

Martin Head nie spojrział nawet na syna. Lakonicznie polecił:

— Butelkę, Bill. I szklaneczki.

Bill wyszedł z salonu, a po chwili wrócił z butelką whisky. Nalał ojcu, a Old Martin poczekał, aż syn obsłuży gości, po czym oświadczył:

— Mój syn Leslie zostanie pochowany jutro w Morgantown. Ale wy nie musicie się wysilać i przychodzić na pogrzeb. Człowiek martwy jest martwy, a żywi mają zbyt wiele roboty, aby marnować swój cenny czas na sentymentalne ceremonie.

Wszyscy co do jednego opróżnili szklaneczki. Ab Cameron miał pięćdziesiąt pięć lat, ale w tym twardym kraju zdążył się już zestarzeć. Miał białe ręce, przez przejrzystą skórę przebijały sine żyły. On jeden odezwał się teraz.

— To smutna historia, Martin. Niech Bóg ześle spokój jego duszy.

— Mój syn żył według własnych zasad i tak też zginął — zagrzmał stary. — Zginął w łóżku. Z kulą w piersi. Jego pas z bronią wisiał na haku na ścianie. Jestem pewien, że jeszcze w chwili śmierci myślał o kobiecie, tak jak zwykle.

— To był twój syn — warknął gniewnie Bill.

— Nie zapominam o tym — odparł stary tym samym tonem. — Był moim synem, ale jako mężczyzna nie był wiele wart.

Po tych słowach w izbie zapadła cisza. Peyrolles zmienił temat.

- Chciałeś z nami porozmawiać, Martin?  
Old Martin wzruszył ramionami.
- Rozmawiać chciał mój syn. I chyba on poprowadzi to zebranie. — Oparł się wygodniej w fotelu.
- Bill Head postąpił o krok do przodu, jakby pragnął uwolnić się z cienia, rzucanego przez ojca.
- Ranier i ja byliśmy wczoraj wieczorem u Torveena, aby doprowadzić tego Surratta do Morgantown. Torveen sprzeciwił się temu. Ponieważ nie zamierzałem wszczynać walki, wróciliśmy do miasta bez Surratta. Teraz nikt już chyba nie ma wątpliwości, co to za typ, ten Torveen.
- Peyrolles uśmiechnął się krzywo.
- Ten młokos chce wydać nam wojnę, co? — mruknął.—  
Cóż, ojciec Sama Torveena był moim przyjacielem, często sadyłem też w moim siodle Sama, kiedy był małym chłopcem. Nie pozwolę jednak nikomu, aby dyktował mi cokolwiek — a już na pewno nie pozwolę na to temu żółtodziobowi.
- Dałbym dużo — warknął Dutch Kersom — aby dowiedzieć się, dlaczego broni tak tego przybysza Surratta.
- To proste: chce pozyskać kogoś nowego do swojej bandy — odparł Peyrolles.
- Do rozmowy wtrącił się Ab Cameron.
- Właściwie zawsze lubiłem Sama — powiedział niepewnym głosem — i szanowałem jego rodzinę. Co się zaś tyczy jego ludzi...
- Już z daleka widać, że to ciemne typy — stwierdził Kersom.
- To prawda — zgodził się Bill Head. Powiódł wzrokiem po zebranych i dodał: — Chce sprowadzić tu owce, a więc nic dziwnego, że potrzebuje dobrych strzelców.

— Owce? — powtórzył z niedowierzaniem Ab Cameron. — To przecież tylko czcza gadanina. Nie wierzę, by posunął się tak daleko.

— To znaczy, że nie zna pan Sama — stwierdził Bill. —

Bo on już je sprowadził. W tej chwili owce są w górach i czekają tylko na to, by ktoś popędził je dalej.

— Dokąd? — wykrzyknął Peyrolles.

— Tego nie udało mi się dowiedzieć. Ustawili tam wartownika ze strzelbą, a ja nie chcę, aby któryś z moich ludzi oberwał kulkę. Nie teraz.

Zdawało się, że nagły ziąb przeniknął wszystkich na wskroś. Milczenie przerwał w końcu Ab Cameron:

— Bardzo mi przykro, że do tego doszło — przyznał zatroskany.

— Przykro...? — powtórzył przeciągle Bill.

— Wyślemy tam naszych ludzi i wybijemy całe stado, co do jednej owcy — mruknął Peyrolles.

— Co ty na to, Martin? — zapytał ostrożnie Ranier.

— To nie moja sprawa — odparł szorstko stary. — Wszystkim kieruje mój syn Bill.

W drzwiach stanął jeden z kowbojów.

— Jakiś człowiek do pana, Bill — zameldował lakonicznie.

Bill wyszedł z pokoju szybkim krokiem. Przed gankiem ujrzał jeźdźca, którego twarzy nie widział w ciemnościach, ale zaledwie nieznamy wypowiedział kilka pierwszych słów, poznał go po głosie.

— Nie prosiłem, by pan tu się zjawiał — warknął zirytowany.

— Owce już są — odparł Blackjack Smith. — Chciał pan dowiedzieć się o tym pierwszy, prawda?

— Gdzie?

— Przy przełęczy.



Bill natychmiast wszedł z powrotem do domu.

— Owce nadchodzą — oświadczył krótko.

Peyrolles zerwał się z krzesła.

— Bardzo szybko je zatrzymamy!

Ostry głos Billa sprawił, że stanął jak wryty.

— Zaczekajcie! Nie załatwimy tego w ten sposób, Przecież Torveen przygotował się na tego typu niespodzianki. Tylko czeka na takich narwańców. Pozwólmy mu pędzić te owce, dokąd chce. Mamy jeszcze przed sobą wiele nocy. Załatwimy wszystko jak należy w odpowiednim czasie.

— Ma pan już jakiś pomysł, Bill? — zapytał Peyrolles.

— Najważniejsze jest to, abym mógł liczyć na was, kiedy tylko zajdzie potrzeba.

— Na pewno nie odmówimy pomocy — obiecał Kersom.

Wstali ze swych miejsc i spojrzeli na starego Martina, jak gdyby czekając, co jeszcze powie. On jednak ograniczył się do uprzejmego „Dobranoc” i znowu umilkł. Dopiero wtedy wyszli z pokoju. Bill patrzył za nimi z ganku przez dłuższą chwilę, po czym wrócił do pokoju. Skręcił sobie papierosa i spojrzał wy-czekująco na ojca.

— Bill! — zagrzemiał Martin i mówił dalej gniewnym tonem: — Tylko dureń pojechałby z całą grupą do Torveena, aby poj-mać jednego człowieka — i wróciłby bez niego!

Bill stracił najwidoczniej całą pewność siebie. Z wahaniem w głosie zaczął się tłumaczyć:

— Powiedziałem już przecież, że Sam dążył do walki. A po co przelewać krew?

— Uczyłem cię zasad jeszcze mądrzejszych niż ta — warknął Old Martin. — Nie należy nigdy zaczynać gry, której nie można doprowadzić do końca. Jeżeli już zdecydowałeś się pojechać do

Torveena, to trzeba było zabrać tego człowieka za wszelką cenę! Popełniłeś więc dwa poważne błędy. Po pierwsze nie doceeniłeś Torveena, a po drugie odjechałeś od niego z pustymi rękami. To znaczy — jeżeli mam nazwać rzecz po imieniu — po prostu stchórzyłeś!

Bill zerwał się na równe nogi, krew uderzyła mu do głowy.

— Dajmy temu spokój! — zawołał gniewnie. — Tego Surratta schwytam wtedy, kiedy będę miał na to ochotę!

— Któż to jest ten Surratt?

— Jakiś obcy, który włóczył się po górach.

— Leslie nie został zabity przez obcego. Zrobił to ktoś, kto znał go bardzo dobrze, a więc Surratt nie miał z tym nic wspólnego.

— Wiem o tym.

— To czego od niego chcesz?

— Nie chcę, by pomagał Torveenowi.

Old Martin zmierzył go zimnym wzrokiem.

— Nie jesteś szczery — powiedział wreszcie. — Nie ufam ci ani trochę. Ja też robiłem w życiu rzeczy, których teraz żałuję. Ale były to po prostu błędy. Ty zaś uciekasz się do wykrętów. Mówiłeś przedtem o owcach, ale w rzeczywistości nie chodzi ci wcale o te zwierzaki, tylko o Sama Torveena, którego nienawidzisz.

— Niezależnie od tego jaki jest powód, muszę dopaść Sama Torveena — odparł chłodno Bill.

Old Martin zacisnął dłonie na poręczy fotela, po czym wybuchnął:

— Jeżeli powstał między wami jakiś spór, to pojedź do niego i załatw sprawę tak, jak przystało na mężczyznę, a nie wyszukuj sobie wymówek! Wieczne potępienie czeka tego, kto oszukuje!

Jego głos odbijał się echem od ścian, wypełniając sobą cały pokój, wreszcie przebrzmiał. Zaległa cisza.

Bill wpatrywał się w czubki swych butów, a potem powiedział spokojnym głosem:

— Tak jest, sir. Czy mam zanieść cię teraz na górę?

Old Martin wpił w niego wzrok pełen goryczy.

— Jestem przekonany, że to Nick Perrigo zabił twego brata. Znam bardzo dobrze tego Perriga. To nędzny szczer, który pracował dla mnie wystarczająco długo, by znienawidzić wszystkich Headów, a zwłaszcza Lesi i e'ego. Ten typek nigdy nie zapominał żadnej obrazy, nie umiał też wybaczać. Gdybym miał zdrowe nogi, zabiłbym go, ale ponieważ nie mogę już tego zrobić, załatwisz to za mnie.

Bill spojrzał na niego zaskoczony.

— Mam to uczynić osobiście, sir?

— Les nie był wiele wart — mówił dalej Old Martin. — Ale nosił nasze nazwisko, a my musimy o nie dbać. Zabijesz Nicka Perriga. — Uśmiechnął się ironicznie i dodał: — Może to nie po chrześcijańsku, ale za to uczciwie.

— A jeśli...? — zaczął Bill i raptem urwał.

Od progu rozległ się kobiecy głos:

— Czy mój ojciec pojechał już do domu? — Do pokoju weszła Judith Cameron. Podeszła do Martina, uśmiechnęła się, nachyliła ku niemu i pocałowała w policzek.

Stary siedział w bezruchu, z dłońmi zaciśniętymi kurczowo na poręczy fotela. Ten człowiek uśmiechał się rzadko, ale kiedy dziewczyna wyprostowała się z powrotem, śmiejąc się cicho z jego sztywnej pozy, również po jego twarzy przemknął cień uśmiechu. Jego głos był jednak jeszcze bardziej szorstki niż zazwyczaj:

— Pojechał. A dziewczyna taka jak ty, Judith, nie powinna

włóczyć się nocą sama po górach! Bill, odprowadź ją do domu!

Judith przeniosła wzrok na Billa, po czym zapytała przeciągle:

— On miałby mnie ochraniać, Martin?

W oczach starego zamigotały ostre błyski. Spojrzał nachmurzony na syna:

— Jeżeli zachowa się nieodpowiednio, Judith, możesz użyć broni!

Judith wyszła, a Bill podążył za nią.

— Pokey! — zawołał Old Martin.

Do salonu wszedł natychmiast chudy, niewysoki mężczyzna i stanął przed Martinem. Na jego twarzy, naznaczonej już przez wiek, rysowały się oddanie, spryt i smutek.

— Kto przyniósł Billowi wiadomość o owcach? — zapytał Head.

— Blackjack Smith.

— No, no! — warknął stary. — A więc to takich wykwiutnych gości przyjmujemy teraz na ranczu! Pokey, obróć mnie w drugą stronę i wynoś się stąd!

Pokey obrócił fotel przodem do kominka i bezszelestnie opuścił salon, po czym udał się na werandę, aby swoim zwyczajem stanąć na posterunku.

• • •

Jechali oboje w milczeniu. Kiedy dotarli do łąki. Bill odezwał się z wyrzutem:

— Musiałaś powiedzieć to staremu?

— Że nie mogę ci zaufać? No cóż, Bill...

— Nie mogłabyś być wobec mnie trochę miłsza, Judith? — przerwał jej zirytowany.

— Tego można oczekiwać od innych tylko wtedy, kiedy jest się samemu uprzejmym — odparła cicho.

— Mówisz tak, jakbyś nie miała serca! — zawołał gwałtownie. — Na Boga, co mam zrobić, żebyś była mi bardziej przychylna? Musisz mnie tak zawsze odtrącać?

— A ty nie cierpisz, kiedy ktoś cię odtrąca, prawda, Bill? — odparła ostro. — Wszystko musi odbywać się tak, jak ty to sobie ułożysz! Kiedy gwizdniesz na psa, a on nie podleci natychmiast, chwytasz za szpicrutę. Pewnie najchętniej wychłostałbyś też kobietę, gdyby nie uśmiechnęła się do ciebie na rozkaz, czy tak?

Ściągnął konia i chwycił za lejce.

— Posłuchaj, Judith. Nie pozwolę, aby ktokolwiek włazł mi w paradę, jeżeli chodzi o ciebie. Może, jak na twój gust, nie jestem wystarczająco sentymentalny, ale w każdym razie potrafię walczyć o to, na czym mi zależy.

— Możesz użyć nawet szpicruty — zauważyła zimno.

Objął ją, zanim zdołała unieść dłoń. Przechylił jej głowę i pocałował brutalnie, po czym puścił. Wtedy zamachnęła się, szpicruta przeszła powietrze, trafiając Billa przez głowę. Zachwiał się w siodle, kapelusz zleciał na ziemię. Kiedy uspokoił konia i chciał zbliżyć się do niej ponownie, zawołała energicznie:

— Wystarczy, Bill! Jeżeli nie przestaniesz, posłucham rady twego ojca!

Głosem zdławionym wściekłością wykrztusił:

— Więc po co wólczy my się tu o tej porze?

— Lubię jeździć nocą.

— Ten nawyk przysporzy ci jeszcze mnóstwo kłopotów, Judith. Gdzie byłeś tej nocy, kiedy zastrzelono Leslie'ego?

Natarła na niego koniem i jeszcze raz smagnęła szpicrutą przez twarz, po czym pomknęła galopem przez łąkę i wkrótce zniknęła w gęstwinie lasu.

Bill nie pojechał za nią. Został na łące. Pocierał dłonią piekące policzki, pieniąc się z wściekłości. Nigdy jeszcze nie czuł się tak upokorzony.

## 6.

Hughie Grant, kowboj zatrudniony na Crow Track, nadjechał drogą wiodącą z Morgantown. Widząc Nicka Perriga opartego niedbale o wrota rancza Torveena, zatrzymał konia.

— Proszę, proszę! Oto ten facet, który pracował kiedyś dla Heada. Nigdy cię nie lubiłem, Nick, i chyba ty też nie przepadałeś za mną. Myślę, że nikt cię nie lubił, nawet ty sam nie możesz na siebie patrzeć.

— Lepiej ruszaj już dalej, Hughie — poradził Perrigo.

— Cóż to, czy to twoja droga? — roześmiał się Grant. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej płaską butelkę whisky. Zębami wyciągnął korek i pociągnął spory łyk z butelki. Wzdrygnął się lekko i z powrotem zatkał butelkę, ale nagle — jakby w porywie wspaniałomyślności — podsunął ją Nickowi. — Niech tam, napij się i ty tego paskudztwa.

Perrigo odparł natychmiast:

— Nie. — Nie odrywał, jednak wzroku od butelki i wyciągnął po nią niezdecydowanie rękę, aby niemal od razu cofnąć ją z powrotem.

— Do diabła z tobą, Perrigo! Co cię powstrzymuje? Duma czy coś innego? No tak, ty nigdy nie potrafiłeś pić whisky!

— Dawaj! — warknął nagle Perrigo. Chwycił butelkę, odchylił głowę do tyłu i łapczywie przypiął się do szyjki.

Hughie zmrużył oczy.

— Hej! — zawołał. — Coś taki zachłanny, zostaw trochę dla mnie!

Perrigo oderwał się od butelki.

— Człowieku, aleś był wysuszony! — wykrzyknął Grant.

— Od pół roku nie miałem w ustach nawet kropli, Hughie.

— Abstynent, co? — zapytał z odrazą Grant. — No, dawaj tę butelkę.

Perrigo przytknął ją szybko do ust i wypił resztę, dopiero potem oddał. Twarz miał już lekko zaczerwienioną.

— Do diabła, pusta! — zawołał Grant. Cisnął ją z rozmachem pomiędzy drzewa, wsparł się oburącz o łęk siodła, trwał tak przez chwilę, po czym podjął decyzję.

— Niech mnie diabli, jeżeli wrócę do domu o suchym pysku! Następnym razem, kiedy się spotkamy, Nick, nie spodziewaj się, że dam ci się napić! Teraz co! Muszę wracać do miasta po nową butelkę! — Zatoczył koniem, ale po dziesięciu metrach obrócił się jeszcze raz:

— Jedziesz ze mną, Nick?

— Po whisky?

— A po cóż by innego?

— Poczekaj chwilę — odparł Perrigo. — Przyprowadził konia, a po chwili jechali razem drogą do Morgantown.

Wkrótce kopyta dudniły już po głównej ulicy miasta. Słońce stało wysoko na zachodzie, oblewając świat purpurą.

Szeryf Ranier stał przed swoim biurem, obok niego, w fotelu inwalidzkim, siedział Old Martin. Nick Perrigo minął ich, nie zaszczycając nawet jednym spojrzeniem. Tak samo tępo patrzył przed siebie, kiedy mijał hotel i gapiącego się na niego



z werandy Billa Heada. Przed saloonem stała grupka kowbojów z Crow Track. Tu Nick zsiadł z konia, uwiązał go do bariery i wszedł do środka, przepychając się łokciami, ale starając się nie patrzeć na ludzi Heada. Hughie Grant podążał za nim krok w krok. Któryś z klientów odsunął się spieszenie od kontuaru. Rozmowy umilkły, miejsce przy ladzie opustoszało, mężczyźni odchodzili na bok, spoglądając na Perrigo z powściągliwym zainteresowaniem.

— Whisky — odezwał się Perrigo do barmana, a ten przyniósł mu natychmiast butelkę i szklaneczkę. Nick nalał sobie do pełna i opróżnił szklanę jednym haustem.

Hughie Grant obmacał się nagle po piersi.

— Jezu, gdzie moje pieniądze? — jęknął.

Odwrócił się, jakby chciał wyjść.

Perrigo chwycił go za ramię.

— Dokąd idziesz? — zapytał.

— Zaraz wrócę — odparł cicho Grant.

Perrigo wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę nabiegłymi już krwią oczami, po czym puścił go.

— Na twoim miejscu też bym wrócił, Hughie — powiedział.  
— Bo inaczej pójdę po ciebie. Nie lubię pić sam.

— Jasne — przytaknął Grant. Szybkim krokiem wyszedł z saloonu, minął swoich kompanów, mrugnął do nich porozumiewawczo i udał się na drugą stronę ulicy, do Billa Heada. Kiedy zdjął kapelusz, na jego czole były widoczne grube krople potu. Nie był pijany, nigdy się nie upijał. Westchnął głęboko, po czym powiedział do Billa:

— Ma pan tego człowieka, Bill. Ale niech pan to sobie dobrze zapamięta: robię to po raz pierwszy i ostatni!

W tym samym momencie siedzący w saloonie Neal Irish, karcjarz, rzucił karty na stół i powiedział do pozostałych graczy:

— Panowie, przerywamy grę na krótką chwilę.

• • •

Buck Surratt opierał się plecami o korral rancza Torveena, oglądając zachód słońca, kiedy z lasu wyłoniła się Annette Carvel. Nadjechała galopem, zatrzymała się przed Buckiem i zeskoczyła zwinnie na ziemię.

— Witam panią — pozdrowił ją Surratt.

Wdzięcznym gestem odgarnęła z czoła kosmyk włosów i uśmiechnęła się.

— Czy Sam jest w domu? — zapytała.

— Wszyscy wyjechali. Jestem tylko ja.

Przez chwilę spoglądała na niego z widocznym zainteresowaniem, wreszcie powiedziała:

— Nazywam się Annette Carvel. Razem z matką prowadzimy w mieście pracownię krawiecką. Pan jest Buck Surratt, ten nowy, prawda?

— Tak.

— Jest pan bardzo odważny, skoro podejmuje pan walkę z Billem Headem — zauważyła, a jej głos był teraz lekko ochrypły.

Buck milczał. Annette spoglądała na niego jeszcze przez chwilę wyczekująco, wreszcie z nie ukrywanym rozczarowaniem wyduła wargi, wzruszyła ramionami i powiedziała:

— Cóż, w takim razie wydaje mi się, że pan będzie musiał to zrobić. Nick Perrigo jest w saloonie. Pijany jak bela. I są tam prawie wszyscy ludzie Heady. Oni go nienawidzą, rozumie pan, co mam na myśli?

— Dziękuję pani — powiedział spokojnie.

Nadal spoglądała na niego jakby z nadzieją, wreszcie wskoczyła na siodło jednym ruchem i jeszcze raz rzuciła mu szybkie spojrzenie.

— Sam dalby wiele, żeby się o tym dowiedzieć, ale jeżeli jest tylko pan... — Uśmiechnęła się czarująco. — W każdą sobotę są w mieście tańce, Buck. — Znowu posłała mu uroczy uśmiech i pomknęła galopem przed siebie.

Buck nie tracił czasu. Wyprowadził konia ze stajni, osiodłał go i pojechał do Morgantown. Jedna rzecz nie dawała mu spokoju. W jaki sposób ten wyga, Nick Perrigo, dał się wciągnąć w pułapkę?

Kiedy dotarł do miasta, było już ciemno. Błady sierp księżyca dawał skąpą poświatę. Przed saloonem zsiadł z konia, przywiązał go do barierki i wszedł do środka. Przecisnął się obok kilku kowbojów, których wzrok świadczył aż nazbyt wyraźnie, że został rozpoznany, i zanim jeszcze wahadłowe drzwi zamknęły się za nim, usłyszał, jak jeden z tych, których minął, zawołał:

— Zawołajcie Billa!

Surratt uśmiechnął się przelotnie i zatrzymał się tuż za progiem. Wszystko było tak, jak to sobie wyobraził. Więcej niż trzydziestu mężczyzn cisnęło się w niemym oczekiwaniu, a pod ścianą stał Nick Perrigo. Chwiał się raz w jedną, raz w drugą stronę, a ciężar rewolweru, który ścisnął w dłoni, zdawał się ciągnąć go do przodu. Wpatrywał się w tłum, ale był to wzrok spitego do nieprzytomności człowieka, który nie ma najmniejszego pojęcia, co dzieje się wokół niego. Z trudem wybełkotał:

— No, na co czekacie? Obleciał was strach?

Barman zauważył już Surratta i otworzył usta, ale najwiśdziej zmienił zamiar, gdyż zamknął je z powrotem bez słowa.

Surratt odezwał się głośno i wyraźnie:

— Chce pan wrócić na ranczo, Nick?

Tłum ożywił się. Wszystkie głowy obróciły się w jego stronę.

— Kto to mówi? — zapytał Perrigo.

Tłum odpływał powoli pod ściany, tworząc przejście, i w ten sposób Surratt mógł dojrzeć wyraźnie swego zarządcę.

— Surratt — odparł. — Chce pan wrócić do domu, Nick?

— Surratt?! — powtórzył Perrigo jakby ze zdumieniem. — Niech pan mnie stąd wyprowadzi! — I w tym momencie, jakby nagle opuściły go siły, osunął się i runął na podłogę do przodu.

Ludzie Heada stali przez chwilę w bezruchu, a potem stłoczyli się z powrotem, zamykając przejście i odgradzając Nicka od jego niedoszłego wybawcy.

Z ulicy dobiegły szybkie kroki, dudniące po trotuarze. Surratt oparł dłoń na rękojeści rewolweru i powiedział łagodnie:

— Zabieram Nicka do domu, ludzie. — Wyciągnął broń z kabury i z nikłym uśmiechem, jakby przyklejonym do twarzy, ruszył do przodu. Stojący najbliżej zawahali się, rozstąpili na boki, ale natychmiast zbili się z powrotem w gromadę za jego plecami. Teraz i on znalazł się w potrzasku.

Ktoś z tyłu zawołał gniewnie:

— Na co jeszcze czekacie, co? Załatwcie go!

Surratt nie czekał długo na efekt tego wezwania. Mężczyzna stojący przed nim wyciągnął do niego ręce. Buck rąbnął go rewolwerem w głowę, odepchnął i przepchnął się dalej. Znowu usłyszał za sobą głos:

— No co, bierzcie się wreszcie za niego!

Ktoś z boku zamachnął się. Surratt uniósł nogę, zadając mu cios kolanem, tamten wrzasnął z bólu i uderzył Bucka w twarz. Inni wyciągali ku niemu ręce, ale ścisk był tak wielki, że ludzie

przeszkadzali sobie wzajemnie. Surratt parł do przodu, tłukąc rewolwerem na oślep, bezlitośnie. On również inkasował ciosy, przede wszystkim w plecy. Koszula wisiała już w strzępach, ktoś ścisnął go za szyję, ale Buck nie dał się zatrzymać. Przedzierał się dalej, ciągnąc napastnika za sobą. W końcu tamten dał za wygraną. Innego śmiałka uderzył rewolwerem w skroń i oto miał już przed sobą tylną ścianę saloonu. Jednym susem dopadł jej i oparł się o nią plecami.

Tłum przystanął, jakby przed niewidzialną barierą. Ten i ów warczeli gniewnie, niczym wygłodniałe wilki, ale lufa rewolweru w dłoni Bucka odbierała im odwagę.

Surratt ukląkł i objął Perriga w talii. Podciągnął go w górę i zarzucił sobie na ramię. Stał tak przez chwilę, patrząc na drzwi saloonu, oddalone od niego o jakieś dziesięć metrów. Ktoś wskoczył na kontuar i zgasił lampę, inny zajął się lampą wiszącą nad stołem w drugim kącie sali. Zapadła ciemność, którą rozświetlała już tylko jedna lampa — tuż za plecami Surratta. Z radosnym śmiechem chwycił ją, krzyknął: — Ognia! — i cisnął nią w tłum.

Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Rozlana nafta eksplodowała bladym płomieniem, który natychmiast objął ubranie stojącego najbliżej kowboja, Mężczyzna wrzasnął przeraźliwie, obrócił się na pięcie i runął ku wyjściu. Ogień pożerał zachłannie posypaną wiórami podłogę, napełniając salę dymem i swądem.

Ludzi z Crow Track ogarnęła panika. Bezludnie, popychając jeden drugiego, tłoczyli się ku wyjściu. Tylko jeden z nich usiłował zgasić ogień.

Surratt nadal wpatrywał się w drzwi, wreszcie rzucił się w tamtą stronę. Stoły przewracały się na podłogę, ktoś wybił okno i wyskoczył na zewnątrz, drzwi, wyrwane z zawiasów, leżały na podłodze. Surratt niestrudzenie parł do przodu,

odepchnął nogą kogoś, kto chciał go zatrzymać i wypadł na ulicę. Wolną ręką uchwycił się barierki, zatoczył się i stanął, dysząc ciężko.

Niemal w tej samej chwili otoczyli go ludzie z Crow Track. Na werandzie hotelu dojrzał Billa Headą; ten wpatrywał się w niego z triumfem.

— Niech pan położy Perriga na ulicy! — rozkazał. — Dostyc tej zabawy!

A więc znowu znalazł się w sytuacji, z jaką stykał się już wielokrotnie w przeszłości. Stojąc w blasku światła padającego z hotelu, czuł na sobie zaciekawione spojrzenia zebranych. Z ich twarzy mógł odczytać również krwiożerczy instynkt.

W wózku inwalidzkim, obok Billa, siedział kaleka, stary mężczyzna z czarną brodą. On też wpatrywał się w Bucka przenikliwie.

— Niech pan położy go na ulicy! — powtórzył Bill.

W tej chwili Surratt odczuwał wyłącznie bezgraniczną wściekłość, potęgowaną jeszcze przez krew ciekącą mu z ust. Mimo to z jego twarzy nie zniknął lekki, jakby przyklejony uśmiech.

— A ja myślę, że doprowadzę tę sprawę do końca! — odkrzyknął.

— Przekłęty dureń! — zawołał Bill. — Naprawdę chce pan tu zginąć?!

Surratt czuł w dłoni znajomy ciężar. Nadal ścisnął rękojeść rewolweru. Jednym podrzutem umieścił sobie Perriga lepiej na ramieniu.

— W końcu obie strony mają te same szanse — odparł. — Może chce pan spróbować?

— To tylko przechwałki! — powiedział Bill. — Jazda, chłopcy! Odbierzcie mu broń!

Surratt wiedział już, że znalazł się w potrzasku.

Zupełnie nieoczekiwanie kaleka klasnął dłońmi o poręcz wózka i odchylił się do tyłu. Mimo zarostu można było dostrzec wyraźnie grymas wściekłości na jego twarzy. Bill spojrział na niego, nie potrafiąc ukryć zmieszania. Łamiącym się ze zdenerwowania głosem powiedział:

— Tę sprawę załatwię na swój sposób.

Ale nie było mu to dane. Tłum otaczający Surratta rozstąpił się nagle, do przodu przycisnęła się zwałista postać marszala. Jego twarz nie wyrażała nic, ani sympatii, ani gniewu. Tuż obok Bucka stanął w szerokim rozkroku i powiedział tak głośno, aby mogli usłyszeć go wszyscy na ulicy.

— Niech pan wsadzi go na konia, synu, i zawiezie do domu.

— Hej, hej, zaraz! — ryknął Bill. — Ta sprawa należy do mnie!

Bolderbuck obrócił się do niego i powiedział spokojnie, i uprzejmie, ale zarazem nieustępliwie:

— W tym mieście ja reprezentuję prawo, panie Head. Niech pan zawiezie tego człowieka do domu, Surratt.

Jeden z ludzi Heada podjął jeszcze jedną próbę.

— Nie ma mowy!

Bolderbuck odwrócił się do niego.

— Ostrzegam: zabiję każdego, kto wpadnie na pomysł, by sięgnąć po broń!

Surratt obrzucił go uważnym spojrzeniem i potrząsnął głową.

— Muszę poprosić pana o wybaczenie — powiedział. — Wygląda na to, że nie oceniłem pana właściwie. — Powiół wzrokiem po zebranych, po czym przeniósł Nicka Perriga przez ulicę, do koni. Ludzie rozstępowali się przed nim, chociaż wiadać było, że robią to niechętnie. Surratt przerzucił Nicka przez

siodło, dosiadł konia, poprawił bezwładne ciało, chwycił za wodze konia Nicka opuścił miasto.

Bolderbuck trzymał tłum w szachu tak długo, dopóki Surratt nie zniknął w oddali, następnie wrócił do swego biura.

— Dlaczego to zrobiłeś, Tom? — zapytał szeryf Ranier.

— Bo cenię u ludzi odwagę.

— Ten facet to rewolwerowiec.

— Tak — mruknął marszał.

Ranier przemierzał pokój szybkimi krokami, od ściany do ściany, wreszcie przystanął:

— Co teraz powinniśmy zrobić, Tom?

— Trwać przy swoim.

— Nie, ty nadal nic nie rozumiesz! — zawołał szeryf. — Starzy będą walczyć o swoje bydło. Zagospodarowali ten kraj, ale jest też cała masa młodych i biednych — i ci pójdą w ślady Torveena. Do tej pory siedzieli spokojnie, ale kiedy dowiedzą się, że ten Surratt bezkarnie ośmieszył Bilia Heada, zdobędą się wreszcie na odwagę! Ani się nie obejrzysz, jak staną u boku Torveena. Mój Boże, Tom, czyżbyś nie wiedział, co może oznaczać dla nas wojna pomiędzy sąsiadami? Co wtedy będzie z nami? Po której stronie stanąć? Gdzie jest w ogóle nasze miejsce?

— Tu, gdzie jesteśmy — mruknął Tom Bolderbuck.

• • •

Bill Head, nie tając wściekłości, wykrzykiwał do swoich ludzi:

— Jazda na koń! Wyjeżdżamy z miasta! — Kiedy ochłonął trochę, odwrócił się do ojca. — Domyślam się, że nie podobał ci się sposób, w jaki chciałem załatwić tę sprawę — powiedział



gderliwie. — Ale Surratt to rewolwerowiec! Ma to wypisane na twarzy! Nie dam się wciągnąć do walki, tak jak on to sobie obmyślił. Istnieją jeszcze inne drogi i metody. Dlatego wolalbym, abyś wstrzymał się jeszcze trochę z osądem — do momentu kiedy będzie już po wszystkim.

— Zostanę na noc w hotelu — powiedział Old Martin.

Bill chciał wjechać wózkiem do środka, ale stary odepchnął go szorstkim gestem.

— Jedź już do domu! Pokey, hej, Pokey, chodź tu!

Pokey wprowadził wózek do hotelu, a kiedy znaleźli się w pokoju, zamknął drzwi i spojrzał wyczekująco na starego.

— Co o nim sądzisz, Pokey?

— o tym Surracie? — zapytał Pokey. Na jego twarzy pojawił się wyraz zakłopotania, spuścił wzrok na podłogę. — Wydaje mi się, że to twardy orzech do zgryzienia.

— Twardy? — sapnął Old Martin. — Pokey, człowieku! Ten facet stał jak bryła, mając w nosie cały ten tłum! On ich po prostu wykpił, zmusił, by przemyśleli całą sprawę. Szkoda, że jest przeciw nam! Dałbym nie wiem ile, aby mieć syna takiego jak on!

— Bill był tylko ostrożny — zauważył Pokey.

— Żaden mężczyzna nie może sobie pozwolić na ostrożność, kiedy inny zarzuca mu tchórzostwo! — zagrzmiał Old Martin. — Dla Billa nie ma już innego wyjścia: wcześniej czy później będzie musiał stanąć naprzeciw Surratta z bronią w ręku. Jeżeli tego nie uczyni, przestanę uważać go za mego syna. Pokey, muszę wysłać cię w drogę. Udasz się na drugą stronę pustyni i popytasz trochę o tego Surratta. Chcę wiedzieć o nim wszystko, rozumiesz? Wszystko!

— Taaak! — odparł Pokey.

— Wyruszysz natychmiast — podkreślił Martin i ruchem ręki odprawił go. Przez dłuższą chwilę po wyjściu Pokeya siedział nadal w swym wózku, rozpamiętując to wszystko, co widział. Ostatnie wydarzenia zafascynowały go do tego stopnia, że mruknął wreszcie: — Sam jeden... i wytrzymał! Doprawdy, aż trudno to zrozumieć!

• • •

Kiedy Surratt wprowadził Nicka Perriga do sypialni, zastał tam Ferda Bowie'ego i Eda. Obaj zerwali się ze swych miejsc, wpatrując się w niego ze zdumieniem. Buck rzucił Nicka na prycę i bez słowa wyszedł.

Torveen musiał usłyszeć go, jak nadchodzi, gdyż stał teraz w otwartych drzwiach swego kantoru.

— Przywiozłem z Morgantown Nicka Perriga. Pijany w sztok — wyjaśnił Surratt.

Światło padające z biura wystarczało, by dojrzeć rozbitą twarz Bucka i podartą w strzępy koszulę.

— Co się stało? — zapytał ostro Torveen.

— Ta dziewczyna, Carvel, przyjechała tu i powiedziała, że Nick jest w saloonie i ma na karku całą drużynę z Crow Track. No, więc pojechałem tam. Musiałem wyciągnąć go stamtąd siłą.

— Na oczach ludzi Heada? — zapytał z niedowierzaniem Sam.

— Tak.

Torveen obrzucił go rozognionym wzrokiem.

— Czy to wszystko, co ma mi pan do powiedzenia? I mówi pan o tym tak spokojnie, z uśmiechem?

Surratt wzruszył ramionami.

— Bolderbuck sprawił mi olbrzymią niespodziankę. Wmieszal się w to wszystko i pomógł mi.

Torveen pocierał w zadumie czoło.

— Ktoś musiał dać Nickowi napić się, zanim jeszcze pojechał do Morgantown. Inaczej nigdy by do tego nie doszło! Nick wie doskonale, że alkohol dla niego jest jak trucizna. Co do mnie... — urwał, kiedy z północy dobiegł ich odgłos palby. Strzały rozbrzmiewały donośnie. Chciał odsunąć Surratta na bok, ale ten biegł już do konia. Z sypialni wypadli Bowie i Ed. Po kilku chwilach siedzieli w siodłach. Torveen zawołał do Bucka:

— Owce! Zostawiłem wśród poganiaczy Chunka Osbrooka!

Pędzili co sił ku oddalonej o pół mili łące, słysząc przez cały czas huk wystrzałów. Kiedy dojeżdżali na miejsce, wszystko ucichło.

Owce kłębiły się w nieładzie, tworząc białą, poruszającą się chaotycznie masę. Nie było innej rady, musieli objechać stado bokiem. Z lewej strony usłyszeli dudnienie kopyt. W stronę lasu pędzili jacyś jeźdźcy.

— Hej, Chunk! — krzyknął Torveen. — Chunk! — Ruszył w stronę chaty, wykrzykując bez przerwy imię Osbrooka.

— Niech pan będzie ostrożny, Sam! — powiedział Surratt.

Zatrzymał konia i zsiadł na ziemię. Ferd Bowie, klnąc ile wlezie, poszedł za jego przykładem. Również Ed zeskoczył z konia. Razem z Surratem poszedł do chaty. Na łące leżała owca. Była postrzelona, ale dygotała jeszcze konwulsyjnie.

Surratt ogarnął wzrokiem skraj lasu, nie dostrzegł jednak nic podejznanego. Nasłuchiwał jeszcze bez skutku przez chwilę, wreszcie wrócił do chaty. Torveen klęczał już przy drzwiach, trzymał w ręku płonąca zapalke, osłaniając płomyk dłonią.

Nikły blask padał na twarz Osbrooka. Na jego piersi widniała

czerwona plama. Lewa dłoń przyciśnięta była do rany, jakby w zamiarze powstrzymania upływu krwi. Był martwy.

Zapałka zgasła.

— Hej, poganiacze, chodźcie tu! — zawołał Surratt.

— Nie — Torveen nie miał żadnych złudzeń. Oni wszyscy dali drapaką. Tylko Chunk został tu i zapłacił za to życiem. Cóż, był jednym z nas. Ale zostało nas jeszcze pięciu i będą mieli z nami do czynienia.

— Niech pan wyśle jednego ze swych ludzi na górę, Sam — powiedział Surratt. — Teraz ja będę czuwał przy owcach.

## 7.

Na śniadanie Surratt udał się na ranczo. Kiedy wrócił znowu do chaty, czekała na niego Annette Carvel. Uprzejmym gestem przytknął palce do kapelusza.

Uśmiechnęła się do niego i zapytała:

— Czyżby obozował pan teraz tu? na górze?

Zsiadł z konia.

— Mężczyźni są dziwni — powiedziała. — Dzielią kobiety na dwie grupy: dobre i złe. Te kobiety, które decydują się, by uczynić pierwszy krok, są potępiane. Właściwie dlaczego tak jest?

— Czemu pani mnie pyta?

— Bo myślałam, że jest pan inny — odparła cicho. — Za każdym razem mam taką nadzieję, ale zaczynam już wierzyć, że nie ma w ogóle innych mężczyzn.

— Proszę pokazać mi swoją rękę — powiedział.

Spojrzała nań zaskoczona, przechylając nieco głowę, a potem wyciągnęła prawą dłoń. Była cała w pąsach, oddychała teraz nieco szybciej.

Ujął jej dłoń, obejrzał dokładnie, odwrócił, po czym puścił.

— O co chodzi? — szepnęła.

Wsuwał właśnie rękę do kieszeni w koszuli, ale jakiś impuls sprawił, że znieruchomiał.

— Czy pani nosi zamshowe rękawiczki do jazdy? — zapytał.

Otworzyła usta i z sykiem odetchnęła głęboko. Jej twarz pobladła, w oczach pojawił się niepokój. Wyglądała teraz jak zaszczute, patrzące żałośnie zwierzątko.

— Proszę mi ją oddać — wyszeptwała.

— To pani rękawiczka?

— Proszę mi ją oddać, proszę! Jest z mojego sklepu!

— Niech mi pani wybaczy, że o tym wspomniałem — powiedział łagodnie. — Właściwie nigdy nie szperam w życiu innych ludzi.

Przed chwilą widziała, gdzie sięgnął ręką. Teraz rzuciła się na niego, usiłując wepchnąć mu dłoń do kieszeni.

Cofnął się i odepchnął ją.

Drżąc na całym ciele, stanęła tuż przed nim, ze wzrokiem utkwionym w jego oczach, i krzyknęła:

— Wiedziałam, że to pan ją znalazł! I nie jestem jedyną, która o tym wie! Nie odda mi jej pan?

— Nie — odparł tym samym łagodnym tonem, co przedtem.

Zakręciła się na pięcie, podbiegła do konia i wskoczyła na siodło.

— To może kosztować pana nawet życie! — zawołała, po czym pomknęła galopem po łące i wkrótce zniknęła między drzewami.

Surratt stał zamyślony, niezadowolony z siebie. Jego zasadą było nie wtrącać się w życie innych. Wtedy, gdy zobaczył leżącą na podłodze rękawiczkę, w chacie, gdzie zabito Leslie'go Heada, coś kazało mu ją podnieść. Był to nagły odruch: ratować nieznaną właścicielkę rękawiczki. Do tej pory uznawał ten fakt za swą tajemnicę, ale ostrzeżenie Annette Carvel wskazywało na to, że o wszystkim wiedzą już inni. Tym samym rękawiczka stawała się olbrzymim problemem. Zdawała się parzyć go poprzez materiał koszuli. Nakładała na niego pewien obowiązek

wobec nieznaney kobiety, a obowiazek ten polegał między innymi na tym, by nie oddawać jej nikomu innemu.

• • •

Jeszcze przed południem Surratt wybrał się na dłuższą przejażdżkę po okolicy i natknął się przypadkowo na niewielką osadę. Zatrzymał się przed saloonem. Na werandzie siedziało trzech mężczyzn. Wystarczył jeden rzut oka, by zorientować się, co to za ludzie. Za nimi, w otwartych drzwiach, widniała masywna sylwetka Blackjacka Smitha.

— Czołem, Blackjack!— powitał go Buck, zeskakując na ziemię.

Blackjack zwrócił się do siedzących na werandzie:

— To jest właśnie Surratt. — Najwidoczniej mówili akurat o nim. Tamci trzej spoglądali na niego z napiętą uwagą, a Smith powiedział: — Niech pan wejdzie, Buck. — Wszedł do saloonu. — Nadal pije pan żytniówkę?

— Jasne. To pański saloon, Blackjack?

— Tak — odparł Smith. — Mój. — Trzymając pod pachą butelkę i dwie szklaneczki, przeszedł do małego tylnego pokoju i ustawił wszystko na stole. Poczekał na Bucka i zawołał do swoich trzech kompanów: — Wprowadźcie konia Surratta do szopy! — Zamknął drzwi.

— Wszystko w porządku — uspokoił swego gościa.

Usiadł przy stole i spojrzął na Bucka wyczekująco.

Surratt uśmiechnął się.

— Cieszy się pan z tego spotkania?

— Nie — odparł otwarcie Blackjack. — Nie mogę powiedzieć, by to mnie szczególnie cieszyło.

— Czy ta osada ma jakąś nazwę?

- Tak, to Carson Ford.
- A co leży w dole rzeki?
- Dolina Camerona — odparł Blackjack. — Ranczo Headów znajduje się tam dalej, w górach.
- Pamiętam, że zawsze lubił pan osiedlać się tam, gdzie jest dużo stad bydła — zauważył Surratt. — Ale wydaje mi się, że to miejsce nie nadaje się na robienie dobrych interesów.
- To tylko pozory, w rzeczywistości nie jest tak źle.
- Czy nadal lubi pan bydło innych ludzi?
- Czemu nie? — warknął tamten i niemal natychmiast wybuchnął: — Znowu popsuł mi pan szyki! Nie wiem wprawdzie, co pana tu przyгнаło, ale sam fakt, że pan się zjawił, zmienia wszystko.
- Nie jestem na pańskim tropie, Blackjack. To prawda, mieliśmy ze sobą na pieńku; ale od czasu naszej bitwy upłynęło już sporo czasu.
- To nic nie znaczy — odparł Smith. — Już pan potrafi utrudnić życie! Zna mnie pan doskonale. Nieraz podkradam z tego czy innego stada kilka sztuk, ale zawsze znajdowałem przyjaciół, którzy pomagali mi w biedzie.
- Tym razem okazał się nim Bill Head?
- Jasne. Ale nagle zjawił się pan, sprzymierzył z tym Torveenem i załazł za skórę Billowi, a Bill Head musi się z panem rozprawić. Ja jestem po stronie Billa.
- Uczciwie postawienie sprawy — powiedział spokojnie Surratt.
- Blackjack rozparł się na krześle i odchylił do tyłu.
- Nie, to nie tak, mam już dosyć wojowania z panem. Nie podniosę ręki przeciw panu nigdy i nigdzie, musi pan o tym wiedzieć. Po co właściwie przyjechał pan w te strony?
- Żeby trochę wypocząć — mruknął Surratt. — Czuję jednak,



że nic z tego nie będzie. Ciągłe to samo. Mężczyzna, który nosi broń i jest na szlaku, ginie niemal zawsze od broni.

— Kiedy przypomnę sobie, jak pan zabrał Perriga na oczach całej bandy Heada... I zdołał pan potem wyjechać z nim z miasta! — W głosie Smitha zabrzmiała wyraźnie nuta podziwu. — Do tej pory zawsze dopisywało panu szczęście. Ale tym razem wątpię, aby to się udało, Buck. Wziął pan na siebie zbyt dużo. Ten Torveen nie ma żadnych szans w walce z hodowcami bydła. Oni go zniszczą. Wszystko już zorganizowali. Naprawdę wolałbym, żeby pan stąd zniknął.

— Torveen jest moim przyjacielem — odparł spokojnie Surratt.

— Jasne — powiedział z żalem Blackjack. — Taki jest już pański styl. Dziwna rzecz: Bóg jeden wie, że nie jestem święty, a pan o mały włos nie wysłał mnie do piekła. Ale stoję się coraz starszy i mimo woli zaczynam podziwiać to i owo. W panu tkwi wszystko to, co podziwiam. Nigdy nie przypuszczałem, że przyjdzie dzień, kiedy powiem to panu. — Uniósł dłonie w bezsilnym geście. — Co mam teraz zrobić?

— Jak to co? Wyjść swoją kartą!

— Powiedziałem już, że nigdy nie podniosę na pana ręki. To głupia historia. Doprowadzi pan do tego, że tamci zdejmą przed panem kapelusze z głów, zanim skończy się taniec, ale i tak nie ujdzie pan swemu przeznaczeniu. Wiem, co to za człowiek ten Bill Head.

— Hej, Blackjack! — zawołał, nagle ktoś sprzed saloonu.

Surratt znał dobrze ten głos. Zaskoczony spojrzął na Smitha, który wstał z krzesła, skinął głową i powiedział spokojnie:

— Właśnie dlatego kazałem, aby wprowadzono pańskiego konia do szopy, gdzie nikt go nie zauważy. Wiedziałem, że on tu przyjedzie i pomyślałem sobie, że będzie pan wołał nie spotkać się z nim. Tam są tylne drzwi.

Po tych słowach wszedł do saloonu, zamykając za sobą od razu drzwi. Patrząc czujnie na gościa, zapytał:

— Co pana tu sprowadza, Sam?

Był to Sam Torveen.

Tak cicho, jak tylko to było możliwe, Surratt wymknął się z saloonu tylnymi drzwiami, znalazł swego konia, wskoczył na siodło i opuścił osadę. Przeprowadził się na drugą stronę rzeki i pomknął ku łące.

## 8.

Steve Koerner, nadzorca na ranczu Camerona, zameldował Judith:

— Przyjechała panna Carvel.

Judith wyszła na dziedziniec. Annette siedziała na koniu, jej twarz mającyla niewyraźnie w słabej poświacie księżyca.

— Judith, wiem już...

— Poczekaj!

Cała gromada stała zgromadzona przy kuźni obok drogi; fakt ten świadczył o tym, że coś wisi w powietrzu, wzbudzając ogólny niepokój.

Judith odeszła spiesznie nieco dalej, a Annette podążyła za nią.

— Teraz możesz mówić — mruknęła Judith.

Głos Annette zabrzmiał cicho i niepewnie.

— Rękawiczkę ma Buck Surratt, ten nowy.

— Tak też myślałam.

— Och, Judith!

— Myślisz, że wie, czyja to rękawiczka?

— Obejrzał dokładnie moją rękę!

— Moją też, Annette.

— Musiałam powiedzieć, że rękawiczka jest z mojego sklepu.

Judith milczała przez chwilę, potem powiedziała:

— Z jego strony nic nam nie grozi.

— Żadnemu mężczyźnie nie można ufać — zaproponowała Annette, nie patrząc na nią.

— Jemu można, jestem tego pewna.

— Nie bądź taka łatwowierna.

— A jednak mu ufam, Annette.

Annette nachyliła się ku niej z siodła, na jej bladej twarzy malowało się jakieś rozmarzenie, a zarazem zdumienie.

— Nie, Judith! Nie bądź nigdy taka jak ja! To by było okropne! Byłam dziś rano u niego. Uśmiechnął się do mnie tak, że myślałam, że mu się podobam.

— Do ciebie uśmiechają się wszyscy mężczyźni, Annette. Taki już twój los.

— Zapytał mnie, czy noszę zamszowe rękawiczki do jazdy! A potem przeprosił mnie za to pytanie! Dlaczego to zrobił? Próbowałam odebrać mu rękawiczkę, ale bezskutecznie. Co będzie, jak odbierze mu ją ktoś inny?

— Nie — odparła cicho Judith. — Nie sądzę, aby komukolwiek innemu udało się zdobyć tę rękawiczkę.

— Ale przecież wszyscy wiedzą, że on ją ma! Z pewnością będą próbowali mu ją odebrać!

Po raz pierwszy w głosie Judith pojawiła się nuta gniewu.

— Dlaczego właściwie rzucasz się od razu wszystkim mężczyznom na szyję. Annette?

Dziewczyna odparła tonem rozżalonego dziecka:

— Po prostu chciałam, żeby ktoś mnie wreszcie pokochał. O, Boże, Judith, jak bardzo tego łaknę!

— Annette! — szepnęła Judith, chwytając przyjaciółkę za ramię.

Annette ujęła mocniej cugle.

— Mama z pewnością zamartwia się już o mnie, a kiedy przyjdę, zbeszta mnie. Ale... ale ja nie mogę dać sobie z tym

radę. Nie mogę spać, bo ciągle myślę o tej rękawiczce, o tobie... i o sobie. Bill Head jest tak okrutny, bezwzględny! On zabije Sama Torveena, jestem tego pewna! I zabije też tego Bucka Surratta! Przekonasz się! — Bez pożegnania trąciła konia piętami i pomknęła co sił przez drewniany most na drugi brzeg.

Judith wróciła do domu. Niedługo potem na ranchu Cameronów przybył Bill Head. Przystanął grzecznie w drzwiach do salonu, zdjął kapelusz i powiedział:

— Dzień dobry. — Dopiero potem wszedł do środka.

Pani Cameron skinęła mu głową i wyszła do kuchni.

Bill uklonił się przed Judith i powiedział ugodowym tonem:

— Bardzo mi przykro, Judith, że poniosły mnie nerwy. Ale i ty potrafisz zaleźć porządnie za skórę. — Urwał i spojrzał na nią wyczekująco.

Judith milczała. Nawet w tak niepewnej chwili sprawiała wrażenie bardzo dumnej i chłodnej.

Bill czekał jeszcze trochę, a w jego orzechowych oczach błysnął gniew.

— Niektórzy mówią, że ten Surratt nosi w kieszeni jakąś rękawiczkę. Mam zamiar odebrać mu ją.

Judith ogarnęła pasją, gwałtownie zerwała się z miejsca.

— Dotychczas jakoś nie dopisywało ci szczęście, jeśli chodzi o tego człowieka, Bill!

Natychmiast spłonął rumieńcem.

— Odbiorę mu tę rękawiczkę — powtórzył z uporem. — Czy mam ci ją potem przynieść?

— Po co?

— Damska rękawiczka, będąca w posiadaniu Leslie'ego, mogłaby oznaczać dla każdej kobiety, która utrzymywała z nim kiedykolwiek kontakty, olbrzymi skandal. Chyba zdajesz sobie

z tego sprawę. A ty wychodziłaś z nim od czasu do czasu.

— Tak — szepnęła. — Tak, wychodziłam z nim. Bo były to czasy kiedy Leslie potrafił być pogodny i szarmancki. Traktował kobietę tak, jak chciała być traktowana, dokładnie tak. I nie zachowywał się nigdy brutalnie, nigdy.

— To był diabeł w ludzkim wcieleniu! — zgrzytnął zębami Bill. — Nikt nie znał go lepiej niż ja i dlatego wiem, że zrobił to celowo: jeszcze w chwili śmierci położył na podłodze damską rękawiczkę. Chciał mi udowodnić, że uzyskał od kobiety to, czego ja nigdy nie osiągnąłem.

— I to ja jestem według ciebie tą kobietą?

— Mam wierzyć, że jest inaczej? — wybuchnął.

— Jeżeli o mnie chodzi, możesz wierzyć, w co chcesz — odparła. — Nie zależy mi zupełnie na twoim zdaniu. I nigdy nie będzie mi na nim zależeć.

Jego mina zdradzała aż nadto wyraźnie, że najchętniej nauczyłby ją teraz posłuszeństwa swymi olbrzymimi pięściami. Opanował się jednak, za to jego głos przybrał aroganckie brzmienie:

— Dotychczas dobrze się bawiłaś, Judith, dręcząc mnie. Wiem o tym. Ale poczekaj trochę. Nadejdzie i moja kolej.

Wyszedł na dziedziniec, wskoczył na siodło i popędził konia. Był już daleko za mostem, kiedy skręcił w las. Posuwał się stępa. Nieoczekiwanie rozległ się w ciemności czyjś głos:

— Bill Head?

Natychmiast zatoczył koniem i wyrwał z kabury rewolwer.

— Tak — odparł, nasłuchując bacznie.

— Mam wiadomość — usłyszał. — Torveen chce dziś w nocy

przeprowadzić owce w inne miejsce, na łąkę w pobliżu Carson Ford.

— Kim pan jest?

— Co to pana obchodzi? Niech pan się uda na tę łąkę i sam się przekona, czy mówię prawdę. A teraz jedź pan dalej.

Dopiero kiedy Bill Head zniknął w dali, nieznajomy wyłonił się zza krzaków i wyjechał z ukrycia na drogę. W pobliżu ran-cza Cameronów zwolnił, nachylając się nisko nad grzbietem konia, na moście znowu popędził konia i pomknął galopem na drugą stronę rzeki. Nie zwalniał już.

Tajemniczym jeźdźcem był Ferd Bowie, który pędził teraz co koń wyskoczy do domu.

• • •

Owce stały już na drodze gotowe do wymarszu. Czekano tylko na Ferda Bowie'ego. Wreszcie Torveen zawołał rozdrażniony: — Oto i on! — Oczy wszystkich zwróciły się na spóźnionego kolegę, który wyłonił się z mroku.

— Do diabła, gdzieś ty był? — krzyknął Torveen.

— Natchnąłem się na dwóch jeźdźców i musiałem nadłożyć kawał drogi, żeby mnie nie zobaczyli. Jeżeli się nie mylę, byli to Hughie Grant i ten Steve Koerner, którego nie cierpię.

Torveen nie pytał o nic więcej. Stado ruszyło w stronę łąki. Upłynęła co najmniej godzina, kiedy mężczyźni zatrzymali się na skraju lasu.

— Naprawdę chce pan zająć się tym zupełnie sam, Buck? — zapytał Torveen.

— Wszystko będzie w porządku. — Surratt objechał łąkę i przystanął na jej północnym skraju. Stąd widział wyraźnie

światła Carson Ford, połyskujące poprzez czerń nocy.

Torveen stanął przy nim. Skręcił papierosa i zapalił.

— Piękny widok — mruknął.

— Tak, to kraina, o której nie sposób zapomnieć.

— Ma pan rację — odparł Torveen. — No, jutro z samego rana przyślę panu trochę zapasów i ...

— Co pan tam robi, Sam? — zawołał nagle Perrigo.

— Hej, Surratt, gdzie pan się podziewa?

— Surratt jest przy mnie — odkrzyknął Torveen.

— A kto włóczy się tam dalej, na drugim krańcu łąki? — nie ustępował Perrigo.

— Niech pan już jedzie stąd, Buck — szepnął Torveen.

Ale Buck nie ruszył się. Jego wzrok przeszukiwał całą okolicę, aż wreszcie na południu, wśród drzew, dostrzegł coś podejrzanego. Uniósł rewolwer do góry i zawołał: — Hej, kto tam jest?

Żadnej odpowiedzi. Ale z prawej strony, gdzie znajdował się Torveen, rozległ się głos Ferda Bowie'ego:

— Czy to pan, Surratt?

— Zamknij się, chłopcze! — syknął Buck.

Odczekał jeszcze chwilę, po czym strzelił.

Majaczący w ciemnościach cień zniknął. Ale odgłos wystrzału, zwielokrotniony przez echo, wywołał katastrofę. Od strony południowej ktoś zawołał: — Naprzód chłopcy!

Grupa jeźdźców, rozsypana w szeroką ławę, wynurzyła się z lasu, pędząc wprost na stado owiec.

Surratt strzelił jeszcze raz, nie mógł jednak dostrzec żadnej luki w tym zwartym murze napastników. Torveen, Perrigo, Bowie i Ed również otworzyli ogień. Na efekt nie trzeba było długo czekać. Atakujący rozpierzchli się, ale i nieszczęścia nie można już było odwrócić. Pierwsze owce dotarły właśnie nad



brzeg kanionu i runęły w przepaść. Kilka zwierząt dosięgły kule, większość znalazła się jednak wkrótce na dnie kanionu — martwa.

Czyjś spokojny, opanowany głos wezwał napastników do odwrotu.

Surratt rozpoznał ten głos: to był Bill Head. A więc zrealizował swój nikczemny zamiar!

Torveen również poznał głos Heada i przeklinał go teraz w bezsilnej złości.

Bill krzyknął ku niemu:

— Oto pańskie owce, Torveen! I niech to będzie dla pana nauczka! Jeżeli zaś to nie wystarczy, sięgnę do ostrzejszych środków!

Usłyszeli jeszcze, jak tamci przedzierają się przez zarośla, po czym zapadła cisza.

— Surratt! — zawołał Torveen z obawą w głosie.

Buck podszedł wolnym krokiem do niego i innych, zbitych w gromadkę po drugiej stronie łąki. W myślach zajmował się dwoma strzałami, jakie ktoś oddał przedtem w jego stronę. Strzelano z prawa, a tam nie było przecież ludzi Heada — tylko Torveen, Perrigo i Ed. Brakowało Ferda Bowie'ego. Chociaż Surratt kipiał z wściekłości, zawołał zupełnie spokojnie: — Hej, Bowie?

Ferd odpowiedział z odległości około dziesięciu metrów, gdzie rozgarniał właśnie gałęzie krzewów:

— Tak?

— Dlaczego wykrzyknął pan moje nazwisko, zanim zaczęła się ta zabawa?

— O co znowu chodzi? — mruknął Torveen.

Bowie, skryty jeszcze wśród zarośli, odparł:

— Bo nie chciałem strzelać na oślep, musiałem przecież zorientować się, gdzie pan jest.

— Hm — odparł jedynie Surratt.

Pozostali czekali na jego dalsze pytania, on jednak milczał.

Perrigo wycofał się powoli.

Torveen skręcił papierosa i zapalił zapalnik; w blasku nawet tak małego płomyka tworzył teraz świetny cel.

Surratt spojrział na jego minę; wyrażała zupełne zniechęcenie. Również głos pozbawiony był wszelkiej energii, kiedy stwierdził lakonicznie:

— A więc straciliśmy owce.

— Ostrzegłem pana wtedy — powiedział spokojnie i rzeczowo Surratt — że to wilcza gra, Sam.

— Cóż mi więc pozostaje? — zapytał Torveen.

— Musi pan też stać się wilkiem — tak jak oni.

## 9.

Tuż przed nimi migotały w ciemności światła rancza Headów.

— Teraz musimy uważać — ostrzegł Torveen. — Na pewno natkniemy się zaraz na wartownika.

Surratt objął prowadzenie i jeszcze przed Perrigiem dotarł na dziedziniec rancza. Na ganku siedział jakiś mężczyzna, ten sam kaleka, którego poznał już w Morgantown: stary Martin Head.

Na widok samotnego kowboja, wychodzącego właśnie z szopy, zwrócił się do Eda:

— Zajmij się nim.

Martin Head nachylił się w swoim wózku do przodu i zapytał ostrym tonem:

— Kto tam?

Ed był już przy kowboju. Cichym głosem przekonywał go o czymś.

Surratt nie dostrzegł żadnego niebezpieczeństwa. Ranczo było widocznie niestrzeżone. Zwrócił się do pozostałych:

— Wynieście z sypialni wszystkie rzeczy i ulóżcie je na dziedzińcu. Potem poszukacie trochę nafty i oblejecie je.

Martin Head zawołał znowu:

— Kto tam? — Nie musiał już pytać po raz trzeci, gdyż mężczyźni stanęli teraz w blasku światła, mógł więc dojrzeć ich wyraźnie.

Surratt zeskoczył z siodła na ziemię i podszedł do schodków.

— Pański syn złożył nam niedawno wizytę — powiedział spokojnie. — W jej wyniku staliśmy się ubożsi o stado owiec. Wszystkie spoczywają teraz na dnie kanionu. To smutna historia.

— Miałbym o panu lepsze zdanie, gdyby nie znajdował się pan w towarzystwie tego psa — odparł stary.

Surratt nie zauważył nawet, że tuż za nim stanął Perrigo. Ten niepozorny człowieczek zbliżył się rzeczywiście bezszelestnie. Surratt odwrócił się do niego: w oczach zarządcy widniała złowieszcza nienawiść, przebijała też w jego głosie:

— Nigdy nie zapomnę, że wyгнаł mnie pan kiedyś z tego rancza!

Old Martin odparł brutalnie:

— Wydałem polecenie, aby pana zastrzelono, Perrigo. Mój syn załatwi to wcześniej czy później.

Surratt przewidział reakcję Perriga i błyskawicznie uderzył go kolanem w brzuch, kiedy Nick sięgał po rewolwer. Perrigo wypuścił broń z ręki i runął z werandy na plecy. Po chwili dźwignął się na kolana i znieruchomiał w tej pozycji, dysząc ciężko.

— Nie! — orzekł zdecydowanie Surratt.

Zza rogu domu nadbiegł Ed.

— Zapalamy już stos? — zapytał.

— Wejdźcie najpierw do domu i przynieście z pokoju Billa wszystkie jego osobiste rzeczy — odparł Surratt.

— Cóż to za sposób, palić osobiste rzeczy? — pokręcił głową Old Martin. — Gdybym był na pana miejscu, stanąłbym twarzą w twarz, z tym, kto uważałbym za wroga.

Surratt roześmiał się cicho:

— Przypuszczam, że to pańskie ranczo, tak? Cóż, przyjechałem tu odwiedzić pańskiego syna i ludzi, których powiódł przeciw nam, nie pana. Nasza wizyta ma być dla niego tylko ostrzeżeniem.

Old Martin wyciągnął rękę gestem dezaprobaty.

— Ta waśń od samego początku nie dotyczyła pana. Dlaczego więc przyłączył się pan do walczących?

Surratt nie śpieszył się z odpowiedzią

— Torveen wyświadczył mi pewną przysługę — wyjaśnił wreszcie.

Z domu wyszedł Ed, dźwigając całą masę rzeczy Billa. Wkrótce na dziedzińcu zapłonęły jasne płomienie.

— Z pewnością miał pan jakiś powód, przyjeżdżając tu — powiedział Martin. — Nadal nic z tego nie rozumiem.

Torveen wraz z innymi podszedł bliżej.

— Nadjeżdżają, Buck — oznajmił. Przeniósł wzrok na starego Martina i mówił dalej: — Niech pan powie Billowi...

— ... że na całym świecie nie ma drogi, która prowadzi prosto — przerwał mu Surratt. — Wcześniej czy później każdy natknie się na skrzyżowanie, gdzie spotka innych ludzi. Ja już się o tym przekonałem. On też dowie się o tym w swoim czasie.

Bez słowa oddał broń Nickowi Perrigowi i szybkim krokiem podszedł do konia. Po chwili pędził galopem na północ, za nim reszta. Nie upłynęła godzina, kiedy dotarli do domu.

— Nick, obejmiesz pierwszą wartę — polecił Torveen.

• • •

Następnego ranka zrezygnował zupełnie nieoczekiwanie ze swojej pracy kucharz Wang, Chińczyk. Zażądał od Torveena zaległej wypłaty i opuścił ranczo. Następnie zjawił się George

Bernay, drobny ranczer z sąsiedztwa. Zamienił z Torveeniem kilka słów, po czym odjechał. Sam zaproponował właśnie Buckowi wspólną przejażdżkę po górach, kiedy przybył kolejny jeździec, tym razem z doliny Camerona. Gość sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Rzucił na Torveena krótkie spojrzenie, potem wyciągnął z kieszeni koszuli starannie złożoną kartkę papieru i podał Surrattowi, który rozłożył ją, przeczytał, spojrzął na jeźdźca i powiedział szorstko: — Tak. — Jeździec zatoczył koniem i z widoczną ulgą popędził z powrotem. Buck spoglądał za nim przez chwilę, po czym zapytał Torveena:

— Co to za jeden?

— Kowboj Camerona. Nie wiedział pan o tym?

— Chciałem się tylko upewnić — odparł Surratt.

Złożył kartkę, wsunął ją do kieszeni i powiedział:

— Muszę się trochę przejechać, Sam.

— Wróci pan wkrótce?

— Będzie już ciemno, kiedy wrócę — odparł Surratt. Podszedł do konia i — nie oglądając się nawet za siebie — ruszył na północ.

Torveen poczekał, aż tamten zniknie w oddali, po czym przyprowadził konia i pojechał na przełaj przez łąkę w stronę północnego stoku. W lesie wyszukał miejsce, skąd widać było wyraźnie dolinę Camerona. Jeżeli tam właśnie zdążył Surratt, ujrzałby go wcześniej czy później.

Nie był z siebie dumny, ale zazdrość okazała się silniejsza niż poczucie wstydu. Od dawna jego myśli zaprzętała tylko jedna kobieta — Judith Cameron.

Z przodu dobiegło go nagle dudnienie kopyt. Spieszenie skręcił z leśnej drogi i ukrył się w gęstych zaroślach.

Jeźdźcy wyłonili się zza zakrętu. Było ich trzech, jechali jeden za drugim. Ostatniego Torveen poznał od razu. Dźgnął

konia piętami i wyjechał na ścieżkę, zagradzając tamtym drogę.

Ostatnim jeźdźcem był Perrigo, pierwszym — Ferd Bowie. Na widok Sama, który tak nagle zjawił się na drodze, Ferd jedynym szarpnięciem zatrzymał konia i zaklął:

— Do diabła, Torveen! — Ed i Perrigo zatrzymali się obok niego. Cała trójka wpatrywała się w ranczera, jakby stanął przed nimi duch.

— Musimy zmykać! — wykrztusił wreszcie Perrigo.

— Co takiego?

— Peyrolles i jego ludzie ścigają nas — wyjaśnił Ferd Bowie.

— Gdzie byliście? — zapytał Torveen. — Co tu w ogóle robicie?

Nastała chwila milczenia. W końcu Perrigo machnął ręką.

— Daj spokój, Sam.

— Jazda, pośpieszcie się! — naglił Bowie do pośpiechu.

Słysząc już było wyraźnie tętent pogoni.

— Ilu ich jest? — zapytał ostro Torveen.

— Chyba ośmiu, może dziewięciu.

— Ukryjcie się w zaroślach! — polecił Torveen. — Nie będziemy przed nimi uciekać! Cóż to, mamy ich się bać? Do diabła z Hankiem Peyrollesem! Szybko, kryć się!

W mgnieniu oka wszyscy oprócz Torveena zniknęli z drogi. Perrigo przynaglił ranczera:

— Sam, szybciej!

Torveen nie odpowiadał; w milczeniu wyjął z kabury rewolwer. Kiedy na zakręcie pojawili się jeźdźcy, krzyknął do nich:

— Jesteście na moim terenie! Macie natychmiast zawrócić i odjechać!

Ścigający błyskawicznie skoczyli za drzewa, sam Peyrolles natomiast zawołał:

— Ty żółtodziobie! — Wyrwał z kabury rewolwer, strzelił i natychmiast skierował konia za krzak.

Torveen ani myślał ustąpić. Wbrew wszelkim zasadom rozsądku stał, ostrzeliwując napastników.

Koń Peyrollesa runął na ziemię, jeden z jeźdźców, znajdujących się nieco bardziej w tyle, zleciał z siodła Peyrolles wydał ryk wściekłości. Kule świszczały w powietrzu, ścinały gałęzie. Nie widząc przed sobą przeciwnika, Torveen niechętnie zszedł z drogi, zajmując stanowisko za krzakiem. Uniósł rękę z rewolwerem, wypatrując celu, i w tym momencie poczuł ostre uderzenie w ramię. Poczul, że ogarnia go bezwład. Usiłował przytrzymać się lęku, aby nie spaść z konia, ale ręka odmówiła posłuszeństwa. Powoli zsunął się z siodła i wylądował na ziemi. Jakby z oddali dobiegały go okrzyki Perriga, który chciał go odnaleźć. Strzelanina przybrała na sile, a Torveen odniósł wrażenie, jakby cały świat zaczął ogarniać gęsty mrok. Zdołał jeszcze usłyszeć, jak ktoś przedziera się przez krzaki, szepnął ostatkiem sił: — Perrigo... — a potem stracił resztkę świadomości.

• • •

Surratt zatrzymał się na górskiej łące, gdzie rozegrała się nocna tragedia z owcami, wyjął z kieszeni kartkę papieru i jeszcze raz przeczytał wiadomość, została napisana na papierze listowym, jak czynią to kobiety, i dostarczona przez kowboja z rancza Camerona. Wyglądało więc na to, że nie była to mistyfikacja. Tekst listu brzmiał:



*Jeżeli nie zatrzyma Pana nic pilnego, proszę przyjść dziś wieczorem o godzinie siódmej do Carson Ford. Dowiedziałam się o czymś, o czym koniecznie muszę Pana poinformować. Proszę pomyśleć o tym, co powiedziałam Panu podczas naszego ostatniego spotkania —*

*Judith.*

Przytknął do listu zapaloną zapalną i poczekał, aż papier zwęgli się doszczętnie. Chciał już ruszyć dalej, kiedy usłyszał za sobą tętent kopyt. Obrócił się w siodle; Annette Carvel nadjeżdżała pełnym galopem. Uśmiechając się, zapytała:

— Jedzie pan w moim kierunku czy odwrotnym?

Grzecznie uchylił kapelusza.

— A w którą stronę pani jedzie?

— Och, byle gdzie. Jest mi wszystko jedno.

Trąciła konia piętami i — jakby była to rzecz zupełnie naturalna — ruszyła wraz z nim. Żadne z nich nie odezwało się już nawet jednym słowem. Dopiero kiedy ujechali milę, zapytała go spokojnie:

— Czy męczy pana moja obecność?

Drgnął, jakby go coś przeraziło.

— Nie. Skądże znowu.

— To już coś — uśmiechnęła się. — Ostatnim razem rozmawiałam z panem z prawdziwą przyjemnością. Dlatego zależało mi na tym, żebyśmy spotkali się znowu. — Spojrzała na niego badawczo. — Czy pan nigdy nie czuje się samotnym?

— A dlaczego miałbym się tak czuć, Annette?

Gestem pełnym tęsknoty, a zarazem żarliwości rozłożyła ramiona.

— Och, tak dużo dzieje się na tym świecie! Tak dużo spraw, które chciałabym poznać lepiej! Gdybym tylko wiedziała, jak to zrobić!

— Tak — odparł lakonicznie.

Klasnęła z radością w dłonie.

— Ach, wiedziałam, że pan mi pomoże, Buck. A więc, jak to zrobić? Co zrobić, by poznać to wszystko?

Nienawidził tej odpowiedzi, której musiał jej teraz udzielić, ale zmuszała go do tego uczciwość.

— Upłynie jeszcze wiele lat, zanim zrozumie pani całą prawdę. Annette.

Zadumała się nad jego słowami i przez dłuższą chwilę jechała w milczeniu, ze zmarszczonymi brwiami. Powoli zapadał mrok. Jeszcze trochę — i daleko przed nimi zabłysły światła Carson Ford. Surratt zatrzymał się, zsiadł z konia i usiadł przy drodze obok ścieżki wiodącej stromo w dół.

— Chce pan tam pojechać? — zapytała Annette. — To nie jest dobre miejsce dla pana.

— Pojadę, kiedy zrobi się ciemno — odparł.

Zeskoczyła na ziemię i usiadła obok niego. Bez żadnego skrępowania oparła się o niego ramieniem, a ponieważ nie zareagował na to, szepnęła po chwili:

— Proszę...!

Odwrócił się ku niej, zdumiony, i dostrzegł jej wyczekujący wzrok.

— Przecież to by nic nie znaczyło — mruknął.

Nie odpowiedziała wprost. Zamiast tego powtórzyła błagalnym tonem:

— Proszę!

— Ale niech pani nie zrozumie tego fałszywie — powiedział cicho, zanim wziął ją w ramiona i pocałował. W jednej chwili cały dziki, nieokiełznany żar bijący od tej dziewczyny jakby przeniósł się na niego poprzez jej wargi, wstrząsając nim bardziej niż się tego spodziewał. Namiętny, pożądlivy pocałunek był dla niego szokiem, wyzwolił w nim coś, co graniczyło niemal

z dzikością. Przycisnął ją mocno do siebie, ale skwapliwość, z jaką na to zareagowała, zaniepokoiła go. Spiesznie uwolnił się z jej objęć i zerwał się z miejsca.

— Bardzo mi przykro — burknął.

Annette wstała również. Oddychała szybko, ale na jej twarzy widniał uśmiech.

— Przykro? Och, czemuż to? Czulałam się tak, jakby otwierał się przede mną inny świat! Nie powinno być panu przykro!

— Czy tak podziałał na panią pocałunek mężczyzny? — zapytał, zaniepokojony jeszcze bardziej.

— Nie, Buck — szepnęła. — Nie pocałunek mężczyzny, lecz pana. — Wspięła się na palce i musnęła go wargami po policzku. Uśmiech na twarzy świadczył, jak bardzo jest szczęśliwa. — A to zamiast podziękowania.

— Byłoby lepiej, Annette, gdyby wiedziała pani trochę więcej o mężczyznach.

Podeszła do konia.

— Wiem o nich więcej niż pan przypuszcza. Ale pan jest inny i dlatego czuję się teraz taka szczęśliwa. Nigdy nie zapomnę tej chwili. I naprawdę nie powinno być panu przykro. Dobranoc, mój ukochany!

Zanim zdążył jej odpowiedzieć, pochłonął ją mrok. Stał jeszcze przez chwilę w bezruchu, po czym dosiadł konia i zjechał w dół, nad rzekę.

W odległości stu metrów od saloonu zatrzymał się i baczny wzrokiem ogarnął całą osadę. Z knajpy, przed którą stały dwa uwiązane do barierek konie, padała jasna smuga światła. Na werandzie siedział jakiś mężczyzna. Innych oznak życia Surratt nie zdołał odkryć.

Z wahaniem zbliżył się do saloonu, uwiązał konia obok tamtych dwóch i wszedł do środka.

Blackjack Smith stał za kontuarem, polerując szklaneczkę. Na widok gościa wskazał szybkim ruchem głowy na drzwi do tylnego pokoju.

— Niech pan tam wejdzie!

— Blackjack...

Tamten potrząsnął głową.

— Już dobrze, Buck, proszę zdać się na mnie.

Surratt wszedł do drugiego pokoju, zamykając za sobą natychmiast drzwi.

W przeciwległym kącie, pod ścianą, stała Judith.

Surratt odczytał z jej twarzy niepokój i troskę i raptem ogarnął go wstyd za scenę, jaka rozegrała się niedawno na górskiej ścieżce.

— Wyjechałem od razu, kiedy tylko otrzymałem od pani tę wiadomość — powiedział.

— Wiadomość? — powtórzyła ze zdumieniem.

— Tak, pani list.

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Nie, Buck. Nie posyłałam panu żadnej wiadomości. Ale... czy to jest od pana?

Wietrząc kłopoty, rzucił się ku niej. Wystarczyły trzy długie susy.

Pokazała mu kartkę papieru, na której było napisane:

*Czy mogłaby pani przyjechać dziś o siódmej do Carson Ford?*

Pod tymi słowami widniało jego imię.

— To podstęp — wykrzyknął. — Ja...

Drzwi otworzyły się, do środka wszedł Bill Head. Za nim zjawił się Blackjack; zamknął za sobą drzwi i stanął skromnie pod ścianą.

— A więc moje przypuszczenie było jednak trafne— odezwał

się Bill. — Od razu sobie pomyślałem, że usłuchacie swoich wzajemnych wezwań. Judith, jesteś taka sama jak Annette Carvel.

Odparła coś, ale Surratt skierował swoją uwagę na rzeczy bardziej istotne. Nie spuszczać oka ze Smitha, cofnął się pod ścianę i wsparł dłoń o chłodną rękojeść rewolweru.

— Niech pan tego nie robi, Buck! — odezwał się Blackjack.

— Ach, więc to tak? — w głosie Bucka zabrzmiało wyzwanie.

Ale Blackjack potrząsała tylko głową; na jego twarzy malowała się jakaś zagadkowa mina. Bill Head przemówił wolno i dobitnie:

— Judith, powiedziałem ci, że odbiorę Surrattowi tę rękawiczkę. Zdaje się, że miałaś jakieś wątpliwości, czy mi się to uda. A więc udowodnij mi to teraz. Przypuszczam, Surratt, że ma pan przy sobie tę rękawiczkę, prawda?

— Jest pan bardziej podstępny niż myślałem — mruknął Buck. — Widzę teraz, że popełniłem błąd: nie doceniłem pana.

— Rękawiczkę! — rozkazał Bill.

— Nie — odparł Surratt. — Obawiam się, że nic z tego nie wyjdzie. — Wiedział doskonale, że znalazł się w potrzasku — tak jak już wielokrotnie w przeszłości. Uśmiechał się zimno, nie wiedząc nawet o tym.

Ale Blackjack Smith, który znał go tak dobrze, czekał właśnie na ten uśmiech i oparł się teraz wygodniej o ścianę.

— Niech pan lepiej tego nie robi, Buck — rzekł ostrzegawczym tonem. — Na zewnątrz czeka jeszcze więcej ludzi, o ile w ogóle uda się panu dotrzeć do drzwi.

— Rękawiczkę! — powtórzył z naciskiem Bill.

— Proszę wyjść na chwilę, panno Cameron — powiedział Blackjack.

Twarz Judith była blada, ale opanowana. Pytającym wzrokiem spojrzała na Bucka, który skinął nieznacznie głową. Jego podziw dla tej dziewczyny wzrósł jeszcze bardziej. Spoglądał za nią, jak powoli i z godnością wychodzi z pokoju.

— Niech pan przytrzyma go na muszce, Blackjack — polecił Bill. — Odbiorę mu tę rękawiczkę.

— Czekaj pan! — powstrzymał go Blackjack. — Odepnijcie obaj swoje pasy i opuśćcie je na podłogę, tam gdzie stoicie!

Bill Head spojrział zdumiony na masywną postać bandyty.

— Co też panu przyszło do głowy? — zapytał. — Przecież powiedziałem wyraźnie, co ma pan zrobić.

— A jednak będzie pan to musiał przeprowadzić na mój sposób — odparł spokojnie Blackjack. — Odpiąć pasy!

Nie przestając się uśmiechać, Surratt opuścił na podłogę pasy i odepchnął go nogą na bok.

Bill nie spuszczał wzroku z Blackjacksa. W jego orzechowych oczach widniała nieufność.

— Jeżeli zamierza mnie pan nabrać, Blackjack... — odpiął jednak pasy i położył go na stole. — Może nawet tak będzie lepiej — powiedział, mrużąc oczy. — Już kilka razy wypowiedział się pan na temat mojego charakteru, Surratt. Z prawdziwą przyjemnością zatroszczę się o to, by zmienił pan o mnie zdanie.

— Czy z taką samą przyjemnością powitał pan moje ognisko? — mruknął Surratt.

Te słowa sprowokowały Billa do ataku. Jednym susem rzucił się na Bucka, który zdążył jeszcze pomyśleć, że znowu

popęłnił błąd: Head nie był ani powolny, ani niezdarny. Usiłował odepchnąć się od ściany, ale nie zdążył: Bill naparł na niego i pchnął z powrotem. Surratt z całej siły uderzył głową o deski. Wydało mu się, że jego mózg eksplodował. Pięści Billa zabębniły o jego skronie i Buck poczuł, że nogi odmawiają mu nagle posłuszeństwa. Aby zyskać chwilę wytchnienia, objął Heada w talii, ale Bill natychmiast odskoczył do tyłu.

— O, nie! — warknął. — Nie tak! — Najwidoczniej odczuwał respekt przed sztuczkami Surratta.

Nawet tak krótki moment pozwolił Buckowi dojść do siebie. Mgła przed jego oczami rozwiła się i Surratt dostrzegł, że Bill szykuje się do kolejnego ataku. Padł na kolana, objął przeciwnika w kolanach i szarpnął, przewracając go na podłogę. Head runął ciężko, uderzając barkiem o ścianę i wstrząsając całym pokojem.

Surratt momentalnie stanął w pozycji bojowej, czekając na Billa.

Blackjack spiesznie podszedł do stołu i przezornie usunął stamtąd lampę. Trzymając ją wysoko nad głową, stanął w kącie, aby oświetlić scenę.

Bill Head wstał i potrząsnął głową. Obracał się powoli, szukając przeciwnika. Ten moment Surratt wykorzystał do następnego ataku. Blokując ramieniem rękę Billa, zadał mu pięścią silny cios w twarz. Kolejne uderzenia trafiły w podbródek, skronie, oczy i ponownie w podbródek. Z warg Heada zaczęła spływać strużka krwi. Ryknął jak rozjuszone zwierzę, odepchnął się od ściany i runął na Bucka.

Surratt zdołał uniknąć jednego ciosu, ale następny przełamał gardę i cisnął go na stół, z którym padł na podłogę.

Head zamierzył się nogą, jednak Surratt błyskawicznie złapał

za nią i jednym ruchem powalił go ponownie. Head uderzył go pięścią w szyję, niczym młotem, a potem obaj zaczęli tarzać się po podłodze, okładając się zawzięcie pięściami i nogami. W końcu Surrattowi udało się oderwać od przeciwnika, przeturlać dalej i stanąć na równe nogi. Head zareagował nieco wolniej, pochylił się z lekka i po chwili obaj zderzyli się ponownie. Surratt zainkasował kilka ciosów w żebra, zdołał go jednak odepchnąć, a kiedy Head uniósł na moment głowę, zadał mu potężny cios w podbródek. Head runął na podłogę, jęcząc usiłował przeczołgać się do przodu, ale nie udało mu się wykonać żadnego ruchu. Jego ciało drgnęło kilkakrotnie, po czym opadło bezwładne.

W izbie słychać było tylko ciężki oddech obu mężczyzn. Surratt z trudem chwycił powietrze w obolałe płuca, w pięściach czuł jakby ukłucia tysięcy igieł, odnosił wrażenie, jakby miał zmiażdżoną twarz, bezsilne mięśnie pogrążyły się w bezwładzie — stał jednak i spoglądał na leżącego nieruchomo Heada.

Cisza panująca w pomieszczeniu stanowiła widocznie dla czekających na zewnątrz pewien sygnał, gdyż po chwili drzwi otworzyły się, a do środka weszła Judith.

Surratt dostrzegł w jej oczach przerażenie, które natychmiast przerodziło się w ból.

— Kochany... — zawołała. — Mój drogi! — Podbiegła, ujęła jego rękę i spojrzała mu prosto w oczy. Jej dotychczasowa rezerwa ulotniła się gdzieś i chociaż już po chwili dziewczyna zdołała się opanować, Surratt był tak wstrząśnięty tym, co zobaczył, że sam już nie wiedział, czy przypadkiem nie uległ złudzeniu. Usiłował coś powiedzieć, ale z trudem poruszał ustami i słowa zabrzmiały niezbyt wyraźnie.



— Muszę wyglądać nieszczególnie. I tak się też czuję — nieszczególnie.

Blackjack chciał podnieść stół, ale mebel był już tak połamany, że nie nadawał się do użytku.

W drzwiach stali ludzie Blackjacka, tworząc solidny mur.

Judith wsparła ramieniem Bucka, który zwrócił się do swego dawnego znajomego.

— Pan również maczał palce w tej grze — powiedział. — Pański szef leży teraz na podłodze. A pan, jeśli dobrze pamiętam, miał nie podnosić na mnie ręki.

— I rzeczywiście tego nie zrobiłem — odparł Blackjack. — W pewnym sensie miałem w tym swój udział, ale istniały określone powody ku temu.

— Jakie powody?

Blackjack potrząsnął głową.

— Znam pana nie od dziś, Buck, wiem też, w jaki sposób pan walczy: tym skuteczniej, im ostrzej. Nie słyszałem jeszcze o takim człowieku, którego by pan nie zdołał pokonać. Chodziło mi zaś o to, by dał pan temu typowi porządną nauczkę. To należało mu się już od dawna, a ja chciałem być świadkiem takiej walki. Myślę, że nigdy jej nie zapomnę. Jest pan naprawdę z tych, których nie zapomina się tak łatwo.

— Właściwie czyją stronę pan trzyma, Blackjack? — zapytał Surratt wyzywającym tonem.

— To trochę dziwna sprawa — westchnął tamten. — Przez całe życie starałem się trzymać stronę zwycięzcy i nigdy nie złamałem tej zasady. Również teraz stałem u boku Heada i wszystko było w porządku. Nikt nie powie, że choć raz postąpiłem jak głupiec. A jednak teraz stoję tu i twierdzę, że zerwałem z tym człowiekiem. Jest pan skończony, Surratt, tak samo jak

Torveen, obiecałem jednak, że nigdy nie zwrócę się przeciw panu — i dotrzymałem słowa. Myślę, że powinienem ulotnić się stąd jak najszybciej, zanim Head napuści na mnie swoich zbirów. Naprawdę, sam już siebie nie rozumiem.

— Wcale nie jest pan złym człowiekiem, Blackjack — mruknął Surratt.

— Dobrym też nie — stwierdził sceptycznie Blackjack. — Jestem więc nie wiadomo kim. — Postawił lampę na podłodze, podszedł do drzwi, spojrzął jeszcze raz na dziewczynę i powiedział do Bucka: — Niech pan posłucha, przyjacielu, od tej pory Bill Head będzie czyhał na pana z bronią w ręku. Proszę wziąć to pod uwagę. — Wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Surratt podniósł pas z rewolwerem. W głowie czuł nieustający łoskot, po twarzy spływał pot, piekąc pod oczami.

Bill Head leżał nieruchomo jakby pogrążony w głębokim śnie.

Surratt przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, nie czując już gniewu, po czym odwrócił się do Judith.

Stała pod samą ścianą, z rękami założonymi do tyłu.

Po raz pierwszy dostrzegł w jej oczach cień trwogi.

Niemal bezgłośnie szepnęła:

— Muszę to panu powiedzieć, Buck: ta rękawiczka należy do mnie.

Niezdarnie zapiął pas, nabił fajkę i zapalił. Powoli wyciągnął z kieszeni rękawiczkę, małą zamszową rękawiczkę do jazdy konno — podszedł do dziewczyny i oddał ją jej.

Judith czekała, by coś powiedział, ale daremnie. Wreszcie przerwała milczenie:

— Żadnych pytań?

Potrząsnął głową.

— Nigdy nie zapytam panią o tę rękawiczkę — powiedział.  
— I nigdy nie będę wątpić w pani uczciwość.

— Buck! — zawołała niemal z płaczem.

Była dumna i pełna godności. Była kobieca na tyle, by ovladnąć jego wszystkimi zmysłami niczym najczarowniejsza muzyka, pozwolić mu zapomnieć o przeszłości i uczynić teraz z niego zgłodniałego mężczyznę. On jednak spoglądał pod nogi i zauważył, jakby od niechcienia:

— Sam czuje się pewnie nieswojo beze mnie. Chyba powinienem wracać na rancho.

— Bardzo go pan lubi, prawda?

— Tak. — Dopiero teraz spojrzął jej prosto w oczy i zadał pytanie, które nie dawało mu spokoju, odkąd zobaczył ją po raz pierwszy. — Pani chyba też?

— Oczywiście.

Wysłuchiwał się bacznie w brzmienie jej głosu i zatopił wzrok w jej oczach, ale jej odpowiedź nie stanowiła dla niego wystarczająco jasnej informacji. Wzruszył ramionami, a kiedy otworzył drzwi, ujrzał Blackjacka i jego ludzi stojących na ganku. Odprowadził Judith, poczekał, aż dosiądzie konia, ona zaś uniosła dłoń i powiedziała:

— Dobranoc! — po czym pomknęła galopem, znikając w mroku.

Surratt również podciągnął się na grzbiet wierzchowca, czując jeszcze po walce każdy mięsień, zawołał:

— Bywaj, Blackjack! — i odjechał stępa.

Widok rancza Torveena zdumiał go: z żadnego okna nie padało światło. Wszedł do kantoru i zapalił zapalkę. W migotliwym blasku płomienia dojrzał przewrócone meble i bałagan, którego przedtem tu nie było. Odebrał ten fakt jako wyraźne

ostrzeżenie i natychmiast zgasił zapalkę. Wszedł do sypialni, zamknął za sobą starannie drzwi i znowu oświetlił pomieszczenie, osłaniając płomyk zapalki dłonią. Nie musiał zresztą rozglądać się długo: ten pokój wcale nie wyglądał lepiej.

Wyszedł na werandę i raptem zauważył otwarte wrota korralu.

Wszystkie konie zniknęły.

## 10.

Skoro świt Surratt był już na nogach i rozejrzał się trochę dokładniej. Nie dostrzegł jednak nic nowego. Wyglądało na to, że Torveen spakował swój dobytek w największym pośpiechu i ulotnił się. Ślady były jeszcze widoczne. Surratt dosiadł konia i podążył tropem, który wiódł w góry. Kiedy przejechał przez rzekę i skręcił w las, ściągnął nagle konia; przed nim, jakby spod ziemi, wyrósł nieoczekiwanie Perrigo.

— Gdzie Torveen? — zapytał Surratt.

— Obozujemy dość daleko stąd — odparł Nick. — Ja wróciłem, żeby zatrzeć ślady. Do Sama strzelano. Jest ranny.

— Ciężko?

— Dosyć — burknął Perrigo. — Niech pan jedzie za mną.

Osiem mil dalej natknęli się na rzekę, przejechali na drugą stronę i posuwali się jeszcze dwie mile wąską dróżką pomiędzy skałami. Perrigo czuł się tu jakby pewniej. Było już chyba południe, kiedy zatrzymał się i krzyknął:

— Wszystko w porządku, Ferd!

Z gęstwiny zarośli wynurzył się Bowie. Dojechali do ściany skalnej, zeskoczyli na ziemię i wprowadzili konie do czegoś w rodzaju tunelu — wydrążonego zapewne w pradawnych czasach przez rzekę, po której teraz zostało już tylko koryto.

Dwadzieścia metrów dalej płonęło ognisko. Ed siedział po tu-recku przed Torveenem, leżącym na kilku kocach. Sam sprawał wrażenie, jakby spał, ale na odgłos kroków otworzył trochę oczy i wykrzywił usta w bladym uśmiechu. Jego głos był niczym więcej jak ledwo słyszalnym szeptem.

— Witaj, przyjacielu!

— Co pan wyczynia? — zapytał Surratt.

— Ścigali nas ludzie Peyrollesa — wyjaśnił Ed. — Starliśmy się ze sobą na zboczach w pobliżu rancza Camerona. — W jego spojrzeniu odmalowała się troska. — Kula utkwiała chyba gdzieś obok płuca. Zna się pan na tym choć trochę?

— Dobrze, że pan tu jest — szepnął Torveen, po czym zamknął z powrotem oczy.

Ed podniósł wzrok na Bucka i nieznacznie potrząsnął głową.

Surratt rozejrzał się po jaskini; wyglądało na to, że ludzie Torveena zdołali uratować jedynie swoje koce, nic poza tym. Skinął na Perriga i wyszedł na zewnątrz.

— Macie jeszcze coś do jedzenia?

— Nie.

— Torveenem musi koniecznie zająć się lekarz.

— A jak pan chce tego dokonać? — zapytał Perrigo.

— W Morgantown jest tylko Doc Brann. Ma pan jakiś pomysł?

— Oczywiście. Sprowadzę go tu.

Perrigo obrzucił go ponurym spojrzeniem.

— To do pana podobne, ale nic z tego nie wyjdzie. Po pierwsze w tych górach aż się roi od ludzi Heada. On też nas tropi. Może nawet uda się panu dotrzeć do miasta, ale w jaki sposób zamierza pan odnaleźć Doc'a Branna, co? To miasto może okazać się dla pana zgubą. Kiedy tylko zobaczą pana na

ulicy, zaczną strzelać. A nawet jeżeli dotrze pan szczęśliwie do Branna, to w jaki sposób chce pan go tu sprowadzić? Przecież inni od razu pójdą za panem i wytropią nas. Nie, nie, Sam musi poradzić sobie bez lekarza.

— Co to za człowiek ten Brann?

— Taki grubas o siwych włosach. Właściwie to porządny gość. W tym zatargu zachowuje całkowitą neutralność. Przyjmuje w mieszkaniu nad bankiem. Tam też mieszka. Ale mówię panu, Surratt, że to wszystko na nic. Do tej pory dopisało panu w Morgantown szczęście, i to dwukrotnie. Niech pan lepiej nie kusi losu po raz trzeci.

— Wrócę dziś późnym wieczorem — powiedział Surratt. Powiódł dokoła wzrokiem. — Gdzie my właściwie jesteśmy?

— To ziemia George'a Bernaya. Znajdujemy się na południe od przełęczy. Morgantown leży mniej więcej dwanaście mil na północ.

— A więc spróbuję — zdecydował Surratt. — Nie podoba mi się wygląd Torveena. — Dosiadł wierzchowca.

— Niech pan zaczeka — powiedział Perrigo. — Obawiam się, że będzie pan miał kłopoty ze znalezieniem drogi powrotnej. Ale Doc Brann zna doskonale te okolice. Niech pan mu powie, że chodzi o to miejsce, gdzie odkryto szkielet Modoca Nilesa.

Surratt kiwnął tylko głową i ruszył w stronę Morgantown tą samą drogą, którą tu poprzednio przybył. Wkrótce dostrzegł nieduże ranczo, a nieco później szeroki trakt. Tu zadał sobie sporo trudu, by zatrzeć starannie ślady, mogące wskazywać miejsce, gdzie przejechał na drugą stronę. Około piątej po południu dotarł do zalesionego stoku za miastem, zsiadł z konia i przysiadł na ziemi, oczekując zmroku. Dwie godziny później

zaczął skradać się do miasta, zostawiwszy konia w gęstych zaroślach. Główną ulicę ominął przezornie szerokim łukiem i ukrył się w wąskiej uliczce obok saloonu. Stąd widział wyraźnie Bolderbucka i Raniera, siedzących na werandzie hotelu Withe'a; Peyrolles dotrzymywał im towarzystwa.

Budynek banku mieścił się po drugiej stronie ulicy. Surratt skierował wzrok na górne piętro. W jednym z okien płonęło światło. Szybkim krokiem udał się na drugą stronę ulicy, odwracając nieco głowę przeszedł obok hotelu, dotarł do banku i wbiegł po zewnętrznych schodkach na górę. W korytarzu było kilkoro drzwi, ale tylko na pierwszych widniało nazwisko Branna. Na innych nie było w ogóle żadnych tabliczek. Z końca korytarza dobiegał kobiecy śmiech.

Surratt zapukał do mieszkania Branna, odczekał chwilę, po czym zapukał po raz drugi. Nacisnął klamkę, stwierdził, że drzwi nie są zamknięte i wszedł do środka. Doktora nie było w domu. Nie tracąc czasu, Surratt zapukał do ostatnich drzwi i zapytał kobietę o Branna.

— Jeżeli nie ma go w mieszkaniu, to znajdzie go pan zapewne w hotelu przy posiłku albo w saloonie przy partii pokera — poinformowała go. — Albo tu, albo tam.

Surratt podziękował i podszedł z powrotem do schodów. Tu zatrzymał się na chwilę, aby zebrać myśli. Saloon był dla niego równie odległy jak Chiny; nie wolno mu było tam iść. Zszedł na dół i zerknął na hotel. Na werandzie było już więcej ludzi: towarzystwo powiększyło się o zwałistego Dutha Kersoma i Billa Headę. Surratt cofnął się z powrotem w cień, nie przestając obserwować ulicy. Do miasta wjechała spora grupa kowbojów i zatrzymała się przed saloonem. Za nią podążał pojedynczy jeździec; kiedy jego koń przeciął smugę światła, padającego z



hotelu, odwrócił się na chwilę i Surratt rozpoznał Judith Cameron. Jej powabna postać odcinała się jeszcze przez moment od tej świetlnej plamy, zanim rozplynęła się w mroku.

Surratt wszedł z powrotem w wąską przecnicę, zwrócony ku oświetlonemu oknu banku, i raptem zauważył ogłoszenie naklejone na szybę. Przystanął i przeczytał tekst, czując zarazem, jak ogarnia go wściekłość.

### NAGRODA!

Pięćset dolarów gotówką na rękę za informacje, jakie mogą doprowadzić do ujęcia Sama Torveena, poszukiwanego za zamordowanie Henry Tannera.

Tanner został zabity podczas strzelaniny  
w Przełęczy Camerona.

Pięćset dolarów nagrody za informacje dotyczące  
Bucka Surratta, poszukiwanego za zamordowanie  
Leslie'go Heada.

Sto dolarów za wszelkiego typu informacje, jakie  
mogłyby doprowadzić do ujęcia Nicka Perriga,  
Ferda Bowie'ego i człowieka o imieniu Ed  
— zatrudnionych dotychczas u wspomnianego  
wyżej Sama Torveena.

Stowarzyszenie Ochrony Hodowców Bydła  
BILL HEAD, AB CAMERON. T.J. KERSOM, HANK  
PEYROLLES

Surratt poczuł się zagrożony. Szybkim krokiem przeszedł na drugą stronę uliczki i znowu zatrzymał się pod ścianą saloonu. Zobaczył Judith, która zostawiła konia nieco dalej i weszła do

pracowni krawieckiej. Po raz pierwszy ujrzał też George'a Bernaya, który stał na werandzie, paląc papierosa. Umysł Surratta pracował teraz gorączkowo. Obecność tylu ludzi w mieście musiała coś oznaczać. Grożące mu niebezpieczeństwo stawało się coraz większe. Od grupy kowbojów odłączył się nagle Ranier i ruszył w jego kierunku. Był już na środku ulicy, kiedy zatrzymał go ostry głos Heada:

— Niech pan natychmiast wraca, Ranier! Jest mi pan potrzebny!

Szeryf zawrócił posłusznie i wraz z całą grupą wszedł spieszenie do hotelu.

Do miasta przybył teraz Ab Cameron. Zatrzymał się przed hotelem i zsiadł z konia tak powoli, że ściągnął na siebie pełne ubolewania spojrzenie George'a. Cameron był człowiekiem bardzo zrównoważonym, niepasującym właściwie do tej zgrai. Billowi udało się pozyskać go dla siebie; każdy w mieście wiedział, że Bill już od wielu lat trzyma starego w szachu.

George Bernay spojrział jeszcze raz na Camerona, westchnął i chciał przejść na drugą stronę ulicy, kiedy nagle usłyszał za sobą cichy głos:

— Niech pan cofnie się z powrotem, George!

Bernay nie był w ciemnię bity, znał niejedną trik. Dlatego też przystanął na rogu na widok przejeżdżających właśnie ludzi Kersoma. Dopiero potem wszedł wolnym krokiem w ciemną uliczkę — i zauważył Bucka Surratta.

— Mój Boże, człowieku! — wykrzyknął przerażony. — Po co pan tu przyjechał? Nie widział pan ceny, jaką wyznaczono za pańską głowę?

— Niech pan odszuka Doca Branna i doprowadzi go do jego gabinetu. Będę tam na niego czekał.

Bernay uśmiechnął się przelotnie.

- Już się robi — mruknął i odszedł szybkim krokiem.
- Surratt udał się znowu do mieszkania Branna i zapalił lampę. Wkrótce zjawił się lekarz, natychmiast zamknął za sobą drzwi, oparł się o nie plecami i obrzucił Surratta zaciekawionym, niemal rozbawionym wzrokiem.
- Nigdy bym nie przypuszczał, że wróci pan jeszcze raz do Morgantown.
- Jest pan przyjacielem Torveena? — zapytał Surratt.
- Brann wzruszył ramionami.
- Ode mnie żąda się tylko, żebym był przyjacielem ludzkości — odparł. — A więc Sam jest ranny?
- Kto panu to powiedział?
- Czy przyjechałby pan tu w przeciwnym razie, narażając się na tak duże ryzyko? — zapytał Brann, pakując jednocześnie swoje rzeczy do walizeczki.
- Gdzie ma ranę?
- To chyba płuca.
- Oby się pan mylił — zmarszczył brwi Brann. Zamknął walizkę i nałożył kapelusz. Następnie wyjął z kieszeni rewolwer i położył go na stole. — Nigdy nie noszę przy sobie broni, chyba że przy partyjce pokera.
- Surratt nie zdążył odpowiedzieć, bo w tej samej chwili nadeszli George Bernay i dwaj mężczyźni, których Buck nie widział jeszcze do tej pory. Widząc jego pytające spojrzenie, Bernay wyjaśnił:
- Nie ma obawy. To Jud Horsfall, a to Billy Temple. Brann zna ich obu.
- Gdzie jest teraz Sam? — zapytał Brann.
- Surratt przypomniał sobie słowa Perriga.
- Tam, gdzie znaleziono szkielet Modoca Nilesa.
- Co? Tak daleko? — wykrzyknął lekarz.
- Uważajcie, żeby nikt nie poszedł waszymi śladami — ostrzegł Bernay.

— Niech pan tu trochę poczeka, Surratt — poradził Brann.  
— Byłoby chyba lepiej, gdybym wyszedł sam. — Wziął walizkę i wyszedł.

— Na mnie też już chyba pora — powiedział po chwili Buck.  
Bernay uśmiechnął się i rzekł do tych, których przyprowadził:

— No, więc teraz widzicie go w całej okazałości.

— Co takiego? — zapytał Buck.

Spoglądali na niego z dziwnym wyrazem twarzy. Byli młodzi i sprawiali wrażenie zuchów.

— Dzięki panu w ludziach odżywa nadzieja — powiedział George.

Do rozmowy wmieszał się Billy Temple:

— Potrafi pan przenieść Sama przez przełęcz?

— Chwilowo nie.

— Kiepska sytuacja. Właśnie udało mi się poznać zamiary Heada. Ta banda ma rozproszyć się po całym mieście i przeczesać lasy aż do wierzchołków Gray Bull.

Na schodach rozległy się spieszne kroki. Cała czwórka zniechęciła się. Ale nieznamy mężczyzna przeszedł korytarzem dalej i otworzył ostatnie drzwi, a po chwili usłyszeli jego głos:

— Belle, ten typ, który był przedtem u ciebie, to musiał być Buck Surratt, nikt inny! Znalaziono za miastem jego konia.

Drzwi trzasnęły donośnie.

Surratt przemierzał pokój długimi krokami, tam i z powrotem.

— Muszą być przecież jakieś okna, które wychodzą na tył domu.

George szarpnął drzwiami.

— Zaprowadzę swego konia za dom! — krzyknął tylko i zbiegł hałaśliwie po schodach.

Surratt, Horsfall i Temple doszli do końca korytarza. Ostatnie drzwi były zamknięte. Surratt wziął rozbieg i uderzył w nie całym swoim ciężarem. Drzwi otworzyły się z trzaskiem, przypominającym do złudzenia odgłos wystrzału. W pokoju po drugiej stronie korytarza przebywali, jeszcze kobieta i mężczyzna, teraz jednak ich kroki zbliżyły się do drzwi — jakby zamierzali wyjść. Surratt podbiegł do tylnego okna pokoju pogrążonego w mroku. Horsfall nie odstępował go ani na krok, ale Temple został w korytarzu, zobaczył bowiem, że drzwi otwierają się. Kobieta i mężczyzna spojrzeli na niego podejrzliwie. Temple skierował na nich lufę rewolweru.

— Poczekajcie! — syknął.

Kobieta skoczyła raptownie do przodu i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Następnie rzuciła się pędem do okna i zaczęła krzyczeć:

— Hej... hej... hej!

Temple stał na korytarzu, obsypując siebie samego wyzwiskami, Surratt natomiast wydostał się na zewnątrz przez okno i zeskoczył na ziemię. Nieco oszołomiony, leżał tak przez chwilę. Obok niego wylądował Horsfall. Kobieta nadal krzyczała wniebogłosy, alarmując całe miasto.

— Czy można powiedzieć, że ona postępuje po chrześcijańsku? — warknął Horsfall.

Bernay siedział już w siodle i właśnie dźgnął konia piętami, by wjechać w uliczkę, kiedy usłyszał przeraźliwy krzyk kobiety. Skutek był taki, jakby dzwony obwieściły pożar. Z saloonów zaczęli wysypywać się mężczyźni, biegnąc w stronę uliczki. Kobieta wychyliła się z okna, krzycząc:

— Ten człowiek... Surratt... jest za domem!

Bernay przynaglił konia, nie zdołał jednak przedrzeć się przez ciżbę, która gęstniała z każdą chwilą. Hughie Grant,

stojący wśród innych kowbojów z Crow Track, pochwycił konia Bernaya za cugle i zapytał:

— Dokąd się tak śpieszysz, George?

Bernay zaklął cicho, lecz soczyście. Wyjął jedną nogę ze strzemięcia i z całej siły pchnął nią intruza. Grant zatoczył się do tyłu i chwycił za rewolwer. Nie był wcale wściekły, raczej tylko rozbawiony, ale sposób, w jaki trzymał w dłoni broń, świadczył, że wcale nie żartuje.

— Poczekaj trochę, George — powiedział. — Sprawdzimy, co tu się w ogóle dzieje.

— Z hotelu wybiegł Bill Head, a za nim inni hodowcy bydła. Władczy głos Billa zdołał wprowadzić trochę ładu w ogólny, chaos.

— Dan, przejdiesz przez stajnię! — zawołał.

W wąskiej uliczce aż roilo się od jeźdźców. Gdzieś w ciemności rozległ się huk wystrzału. Kilku ludzi z Crow Track przemknęło obok banku i wpadło do stajni. George Bernay wsparł się oburącz o łęk siodła, obserwując bieg wydarzeń. Kipiał wprost z bezsilnej złości.

• • •

Surratt słyszał doskonale, co dzieje się na ulicy. Horsfall nasłuchiwał odgłosów wrzawy z zatroskaną miną, potem przykucnął obok Bucka i mruknął:

— Najwyższy czas, żeby George przyprowadził tu konia.

— Na to jest już za późno — odparł Surratt. — Niech pan stąd lepiej znika, Jud. — Zerwał się na równe nogi, pobiegł wzdłuż tylnej ściany domu i wkrótce zniknął w ciemności. Tylko łoskot przewracanych skrzyń i jakichś przedmiotów zdradzał, gdzie się znajduje. Biegł w stronę jasno oświetlonego tylnego wejścia do stajni. Horsfall nie odstępował go ani na

krok. Nieoczekiwanie Surratt padł na ziemię. Horsfall uczynił natychmiast to samo. Z sąsiedniej uliczki napływała fala ścigających, inni wychodzili właśnie ze stajni. Ta droga odwrotu była więc zablokowana. Surratt leżał w bezruchu. Horsfall szepnął mu do ucha.

— Jeżeli tego chcą, to możemy im wydać walkę, Bóg mi świadkiem!

Ale Surratt wiedział, że znalazł się w potrzasku. Tamci też wiedzieli o tym i dlatego posuwali się nieustraszenie do przodu. Jeszcze chwila i Surratt został otoczony ze wszystkich stron. Bill Head przyłożył dłonie do ust i zawołał:

— Niech pan wychodzi, Surratt!

Buck rozmyślał gorączkowo. Horsfall, który zdążył już pojąc, że znaleźli się w pułapce, mruknął:

— Do diabła z nimi!

Ale Surratt odpowiedział na wezwanie Billa pytaniem:

— Gdzie jest Bolderbuck?

Marszał odezwał się natychmiast od strony stajni:

— Tu jestem!

— Niech pan podejdzie! Oddam broń, ale tylko panu!

Bolderbuck przecisnął się do przodu.

Surratt przygniół Horsfalla ręką z całej siły do ziemi, wstał i wyszedł na spotkanie marszala. Podał mu rewolwer i wyszedł na ulicę. Przez tłum przecisnął się teraz Bill Head. Na jego twarzy malował się wyraz najwyższego triumfu, kiedy polecił marszałowi:

— Niech pan zaprowadzi go do hotelu!

Bolderbuck trzymał w dłoni rewolwer Surratta. Zbliżając się do zebranych, zatoczył nim rozległy łuk i zawołał donośnie:

— Zróbcie miejsce! Zaprowadzę Surratta do aresztu!

— Bolderbuck, czy pan nie słyszał, co powiedziałem przed chwilą? — krzyknął rozwścieczony Bill.

— Na razie jeszcze ja rządę w tym mieście — odparł spokojnie marszał.

Niewzruszenie parł przed siebie. Surratt szedł obok niego, ramię w ramię. Jeźdźcy z Crow Track rozstąpili się na boki, pozwalając im przejść, ruszyli jednak za nimi. Z tyłu słychać było gniewny głos Heada, ale Bolderbuck nie odwrócił się ani razu. Wprowadził Surratta do swego biura i zamknął drzwi.

— Na górę! — polecił.

Weszli po schodach na górne piętro. Bolderbuck otworzył kratowe drzwi, odsunął się na bok i poczekał, aż Surratt wejdzie do środka. Następnie zamknął drzwi z powrotem i oparł się plecami o kratę.

Ludzie Heada wdzierali się już do biura.

Bolderbuck nasłuchiwał przez chwilę kroków rozbrzmiewających na schodach, po czym odwrócił się i podał Buckowi przez kraty jego rewolwer.

— Proszę wsunąć go pod koc! — poradził. — Pańskie opanowanie jest godne podziwu. Do tej pory dopisywało panu szczęście, ale wydaje mi się, że teraz sytuacja stanie się naprawdę poważna.



## 11.

Po schodach weszli na górę Bill Head, Peyrolles, Kersom, Cameron i pół tuzina jeźdźców z Crow Track. Zatrzymali się tuż przed Bolderbuckiem.

— Niech pan otworzy drzwi, Tom! — polecił Bill.

Bolderbuck zrobił minę, jakby się zastanawiał, wreszcie powiedział:

— Ale bez użycia siły, Bill! — Otworzył drzwi i pierwszy wszedł do celi. Wpuścił Billa i trzech pozostałych ranczerów, innych zaś powstrzymał energicznym ruchem ręki. — Wy nie! Zostaniecie na zewnątrz!

Hughie Grant i George Bernay przesunęli się do przodu i stanęli pod drzwiami. Hughie uśmiechnął się do innych i powiedział:

— Lepiej nie róbmy tu żadnych głupstw, George!

Bolderbuck wodził po wszystkich baczynym wzrokiem.

Surratt stał pośrodku celi, jego oczy patrzyły bez wyrazu.

Bill stanął przed nim, mając po bokach Peyrollesa i Kersoma. Ab Cameron trzymał się z tyłu. Zaczerwieniona twarz Heada zdradzała przepełniające go uczucie triumfu, sprawiała wrażenie brutalnej. Uniósł do góry masywne pięści i wsunął kciuki za kamizelkę.

— Był pan na górze, w mieszkaniu Doca Branna — powiedział. — A Brann zniknął. To oznacza, że przyjechał pan tu, aby

sprowadzić lekarza do Torveena, który leży gdzieś ranny. Gdzie on się ukrywa?

— Ma pan głowę nie od parady, Bill. Niech pan sam dojdzie do tego.

— Właśnie, że pan mi to powie, przyjacielu! — warknął gniewnie Head. — Powie mi to pan, i to zaraz!

— W takim razie niech pan lepiej sprowadzi tu kilku swoich chłopców — zauważył ironicznie Surratt. — Wtedy poczuje się pan bezpiecznie.

Bill Head zeszczywniał, krew napłynęła mu do głowy. Cofnął nieco prawą nogę i nieoczekiwanie zadał Buckowi prawą pięścią silny cios w podbródek. Surratt zatoczył się do tyłu, uderzył plecami o ścianę celi i opadł na kolana. Głowa zwisała mu na pierś. Z trudem podparł się rękami o podłogę.

— Jeżeli zrobi pan tak jeszcze raz, Bill, dostanie pan tym rewolwerem po głowie — ostrzegł Bolderbuck.

— Tak nie zachowuje się prawdziwy mężczyzna — dodał Ab Cameron.

Head, Peyrolles i Kersom odwrócili się do niego niemal równocześnie.

— Zamknij się, Ab! — zawołał Bill, przesywając go gniewnym spojrzeniem, po czym obrócił się znowu do Surratta.

Buck stał już na nogach, oparty o ścianę. Patrzył Billowi prosto w oczy.

— Początkowo nie oceniłem pana właściwie, Head — powiedział — ale teraz wiem już, z kim mam do czynienia!

— To panu i tak nic nie da — warknął Bill.

Cofnął się o krok i powiedział głosem bardziej opanowanym:

— Mam tu, w Morgantown, pięćdziesięciu ludzi. Jeszcze dziś w nocy udadzą się w góry, aby przeprowadzić obławę. Niech mi pan wierzy, Surratt: jest pan skończony. Pan i Sam

Torveen! — Znowu się odwrócił i oskarżycielskim gestem wycelował palec w George'a Bernaya.

— A pan też tkwi w tym po uszy! Daję panu dokładnie dwa-naście godzin na wyniesienie się z tej okolicy, George!

Razem z Peyrollesem i Kersomem oraz ze swymi ludźmi opuścił celę i zszedł po schodach na dół. Cameron został jeszcze przez chwilę. Zamyślony spoglądał na Surratta.

— Jest pan człowiekiem, którego nie sposób nie podziwiać — powiedział wreszcie. — Długo będę o panu pamiętał, ale dla mnie nie ma już odwrotu. Zresztą dla pana też nie. — Spuścił wzrok, wyszedł z aresztu.

George Bernay nie odchodził od drzwi celi.

Nastąpiła chwila milczenia, które przerwał Surratt:

— Czy mam oddać teraz panu rewolwer, Bolderbuck?

Marszał odparł zirytowanym tonem:

— To pierwsza głupia uwaga, jaką dotychczas od pana słyszałem. Do końca sprawy jeszcze daleko. Wiem, jakie zamiary ma Bill Head, wiem też, co jeszcze spróbuje zrobić. Może uda mi się go powstrzymać, nie wiem. Ale niech mnie diabli, jeśli zostawię kogoś w takiej sytuacji w celi — bez broni! — Wlepił wzrok w Bernaya. — Może pan zostać jeszcze trochę tu na górze, ale niech panu nie przyjdzie do głowy jakiś bzdurny pomysł, zrozumiano? — Po tym ostrzeżeniu zszedł na dół.

— Jak wygląda sytuacja w mieście? — zapytał Surratt.

Bernay wyjrzał przez okno. Na ulicy gromadził się tłum. Bill dosiadł konia, Peyrolles i Kersom stali już przy nim. Ab Cameron trzymał się na uboczu. Bill podjechał do niego i zapytał aroganckim tonem:

— Dlaczego nie przyprowadził pan swoich chłopców?

— Myślę, że ma pan już dosyć ludzi — odparł Ab.

— Widzę, że chce pan wykręcić się od swego udziału w robocie! — zawołał Bill.

— To pańska robota. Bill, nie moja — odparł Cameron.

— Co takiego? — Bill aż przechylił się w siodle. Głosem, w którym zabrzmiała wyraźnie groźba, ostrzegł: — Niech pan nie próbuje takich sztuczek, Ab! Wyślę na pana ranczo któregoś z moich chłopców, aby sprowadził całą drużynę. Spotkam się z nią w górach!

Cała kawalkada pomknęła galopem z miasta. Na ulice powracał stopniowo spokój. George Bernay dostrzegł Judith wychodzącą z pracowni krawieckiej. Zauważył to również Ab Cameron, gdyż zawołał natychmiast:

— Wracaj, córko!

Ale Bernay zainteresował się bardziej inną sceną: pięciu jeźdźców Heada, którzy zostali w mieście, utworzyło wartę przed drzwiami aresztu. Bernay zaczerpnął głęboko tchu i zdał Buckowi relację z tego, co zobaczył.

— To przecież jasne — mruknął Surratt— Bill Head chce być pewien, że będę siedział nadal za kratkami, kiedy wróci.

Bernay odszedł od okna.

— Na razie, Surratt! — powiedział, po czym zszedł na dół. Nie czuł się już tak pewnie jak przedtem. Przystanął w biurze marszala.

Bolderbuck siedział za biurkiem, plecami do ściany, z wzrokiem skierowanym na drzwi. Był tak pogrążony w myślach, że nawet nie zauważył, jak Bernay wychodzi na ulicę. Dostrzegli go za to ludzie Heada. Hughie Grant uśmiechnął się do niego, ale George przeszedł dalej, nie zaszczycając ich nawet jednym słowem. Grant zawołał za nim:

— Tylko nie działaj zbyt pochopnie, przyjacielu!

Cameron i Judith weszli tymczasem z powrotem do sklepi-ku z odzieżą. Przed saloonem Bernay natknął się, na Juda Horsfalla. Machnął ręką na jego widok.

— Chodź ze mną! A gdzie się podziewa Billy Temple?

— Tam — wyjaśnił Horsfall, wskazując na pracownię kra-wiecką. Ruszyli w tamtym kierunku i weszli do sklepu. We-wnątrz znajdowali się Ab Cameron i Billy Temple oraz obie dziewczyny. Pod ścianą stała kobieta — matka Annette Carvel — zachowując całkowite milczenie.

Judith mówiła właśnie do ojca:

— Mógłbyś wrócić tu w ciągu godziny z naszymi kowbojami i uwolnić Surratta.

Na twarzy Camerona malowały się zakłopotanie i niepew-ność: jego wiek dawał już o sobie znać.

— Nie — odparł. — Nie, córko. Nie mogę wymagać od swo-ich ludzi, by przeciwstawili się Headowi.

— A więc ja to zrobię! — wykrzyknęła z przejęciem.

Ale Ab Cameron, nie kryjąc zatroskania, potrząsnął głową.

— Zanim dojechałbym do rancza, nikogo już by tam nie by-ło. Przecież Bill Head miał po nich kogoś wysłać. — Umilkł, a potem dodał: — Zresztą i tak nic by to nie dało. Moi ludzie są niewątpliwie lojalni, ale wiedzą, że muszą tu żyć. Wy nie znacie jeszcze Billa Heada tak naprawdę. Gdybym stanął teraz prze-ciw niemu, nie miałbym za tydzień własnego rancza. Nie, nie, nie możemy pomóc Surrattowi.

Judith uśmiechnęła się smutno, ale ze zrozumieniem. Deli-katnie położyła rękę na ramieniu ojca.

— Wybacz, proszę — powiedziała.

Bernay rzucił Billy'emu Temple'owi wymowne spojrzenie.

— Ten Surratt jest moim przyjacielem. Niech mnie diabli, jeśli...

Urwał raptownie i jednym susem znalazł się przy drzwiach. Na ulicy rozległ się huk wystrzału, potem dobiegło ich dudnienie kopyt. Ktoś wykrzykiwał ostrym tonem rozkazy. Bernay pobiegł wraz z innymi przez ulicę i dojrzał kilku jeźdźców, którzy otaczali stojących przed więzieniem ludzi Heada. Nikt już nie strzelał. Kiedy Bernay, za którym podążali krok w krok Horsfall i Temple, zbliżył się do biura marszala, rozpoznał masywną postać Blackjacka Smitha. On i czterej jeźdźcy wyłonili się nieoczekiwanie z mroku, a teraz — z bronią gotową do strzału — trzymali w szachu pięciu kowbojów Heada.

— Hej, to Blackjack! — zawołał Bernay.

Blackjack nie odwrócił się do niego, ale poznał go po głosie.

— Proszę tu podejść, George.— powiedział. — I niech pan odbierze tym typom pasy z koltami. o ile dobrze słyszałem, Surratt znajduje się tu na górze.

Bernay przecisnął się do przodu. Czterej ludzie Heada stali w bezruchu pod ścianą więzienia, trzymając ręce nad głową. Piąty leżał na trotuarze, wijąc się z bólu. Bernay poczuł prawdziwą satysfakcję, kiedy rozpoznał Hughie'ego Granta.

— Nie jest poważnie ranny — wyjaśnił obojętnie Blackjack.

— Za to może pan liczyć u mnie na bezpłatny bilet do piekła! — zgrzytnął zębami Grant.

— Taki bilet dostałem już wtedy, kiedy ciebie nie było jeszcze na świecie — odparł Blackjack. — Chłopcy, miejcie tu oczy szeroko otwarte, a ja wejść do środka. — Zadziwiająco zwinnie jak na swoją nieforemną sylwetkę zeskoczył z siodła na ziemię, zatrzymał się na moment, patrząc, jak Bernay odbiera ludziom Heada pasy z bronią i rzuca je na trotuar. Scena ta sprawiła mu

najwidoczniej przyjemność. Dopiero potem wszedł do budynku więzienia. Bernay udał się za nim.

Bolderbuck nie wstał z krzesła. Siedział bez ruchu, spoglądając na obu gości z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Blackjack potrząsnął głową. Jego słowa brzmiały uprzejmie, slychać w nich było nutę ubolewania.

— Tom, pan zna mnie, a ja znam pana. Ale dowiedziałem się, że Surratt siedzi w więzieniu, przybyłem więc, by go stąd wydostać.

— Ten człowiek ma przyjaciół w najbardziej osobliwych miejscach — stwierdził spokojnie Bolderbuck.

— Taki już jest, Tom.

Marszał wsparł się łokciami o blat biurka i pogрузzył w zadumie. Blackjack czekał cierpliwie, aż wreszcie Bolderbuck odsunął krzesło i wstał.

— Surratt znajduje się w więzieniu zgodnie z przepisami — powiedział. — A ja jestem przedstawicielem prawa od niemal dwudziestu lat. W tym czasie nie dopuściłem do ucieczki żadnego więźnia i jestem dumny z tego powodu. — Uniósł dłoń i zaczął dłubać przy swojej odznace. — Dopóki jestem tu marszałem, nie mogę pozwolić, by wydobył pan stąd Surratta. Prędzej ujrzałbym was wszystkich w piekle. Ale ten facet siedzi tam na górze w celi, która stała się śmiertelną pułapką. Nie jestem w stanie ochronić go przed Billem Headem. Dlatego nie ma innego wyjścia, jak tylko to... — Zdjął odznakę i położył ją na stole obok kluczy. — Kiedy człowiek przestaje dostrzegać, jaką drogą ma iść, powinien jak najprędzej zatrzymać się i przemyśleć wszystko od nowa. Oto moja gwiazda, a tu leżą klucze.

Bernay chwycił pęk kluczy i wszedł na górę. Wkrótce powrócił razem z Surrattem, który spojrzał na Bolderbucka i powiedział łagodnie:

— Bardzo mi przykro, Tom, ale ta sprawa...

— Wygląda na to, że szczęście nadal panu dopisuje — przerwał mu eksmarszał. — Zresztą muszę przyznać, że wszystko przebiega zgodnie z moimi pragnieniami. Niech pan postara się jak najszybciej znaleźć jakiegoś konia.

Surratt wyszedł na ulicę. Nie opodal stały konie z rancza Crow Track. Uśmiechnął się i dosiadł jednego z nich. Blackjack i Bernay udali się za nim.

— Blackjack... — zaczął Buck.

— Niech pan już lepiej jedzie! — burknął tamten.

— Nigdy nie myślałem, że dożyję takiego dnia.

Również Bernay nalegał:

— Niech pan już jedzie, zanim ktoś się tu zjawi i pana zatrzyma!

— A dokąd wy jedziecie? — zapytał Surratt.

— W każdym razie nie z panem — odparł natychmiast Bernay. — Niech pan doprowadzi Sama w jakieś bezpieczne miejsce! Nie trać już czasu, człowieku! Powodzenia!

Po chwili Surratt mknął galopem, zostawiając za sobą miasto.

Bernay powiedział coś do Horsfalla i Temple'a, ci zaś odeszli i po chwili wrócili, prowadząc ze sobą trzy konie.

Blackjack spoglądał na Bernaya zdezorientowany.

— Co to ma znaczyć?

— Dotrzymamy panu towarzystwa, to wszystko.

Blackjack odparł mrukliwie:

— Wydaje mi się, że nie jesteśmy dla was odpowiednim towarzystwem.

— Pośpieszmy się — powiedział lakonicznie Bernay.

Po chwili i ta grupa opuściła miasto. Ujechali milę, kiedy Bernay wstrzymał konia i zwrócił się do Blackjacksa:



— Chyba nie śpieszy się pan specjalnie? A może zmierza pan w jakieś określone miejsce?

— Nie.

— A więc skręcimy tutaj — zdecydował Bernay.

I cała grupa wjechała na ścieżkę wiodącą wprost na południe.

## 12.

Na skraju miasta Surratt napotkał Judith Cameron. Mimo jego starań dziewczyna nie dała się odwieść od zamiaru towarzyszenia mu. Ponieważ знаła dobrze drogę, ruszyła przodem. Dojeżdżali już prawie na miejsce, kiedy raptem ściągnęła wodze i pochyliła się z lekka w siodle. Surratt również zatrzymał się i skierował wzrok na łąkę rozjaśnioną nikłą poświatą księżyca, gdzie majaczyła postać jakiegoś jeźdźca. Nieznajomy przejechał na drugą stronę łąki i po chwili zniknął w gęstych zaroślach. Wyglądało na to, że nie usłyszał nic podejrzanego.

W dalszej drodze prowadził Surratt i już wkrótce poczul dym ogniska. Buck zatrzymał konia i zawołał cicho:

— Nick?

Z mroku wyłonił się Perrigo.

— Kto jest z panem?

— Panna Cameron.

— Jedźcie dalej.

— Ktoś kręci się tu po okolicy, Nick. Przed chwilą zauważyliśmy na łące jakiegoś typa.

Po przekazaniu tej informacji ruszyli dalej, posuwając się wzdłuż wyschniętego koryta rzeki. Słaby blask zdradzał wejście do jaskini. Ferd, widząc dwóch jeźdźców, zawołał na nich.

— W porządku, to my — odkrzyknął Buck. Zeskoczył na

ziemię, pomógł Judith zejść z konia, po czym weszli do jaskini.

Przy ognisku stali Ed i Doc Brann. Torveen leżał przykryty kocami i spojrzał na oboje wchodzących.

Judith podbiegła do niego, uklękła i zawołała niemal z płaczem:

— Och, Sam! Co oni ci zrobili?

Twarz Torveena pojaśniała, jak gdyby wystarczała sama obecność tej dziewczyny, by zapomniał o bólach. Zdołał nawet uśmiechnąć się po swojemu, sceptycznie. Uniósł zdrową rękę i położył ją Judith na ramieniu.

— Kochanie — mruknął. — Bardzo się cieszę, że przyjechałaś do mnie, ale to nie jest dobre miejsce dla ciebie.

Judith zwróciła się do Branna:

— Doktorze, proszę powiedzieć mi szczerze: bardzo z nim źle?

— Wszystko w porządku — odparł spokojnie Brann. — Ranny stracił tylko wiele krwi.

Sam nie spuszczał z niej oka, wiódł spojrzeniem za każdym jej ruchem. Judith nachyliła się i musnęła wargami jego zarosniętą brodę.

Surratt odwrócił się na pięcie i stanął obok mrocznego wejścia do jaskini. Machinalnie nabił fajkę. W głowie czuł pustkę i ciemność. Do jego świadomości docierał tylko jeden fakt: nigdy nie będzie mógł nazwać tej dziewczyny swoją. Do tej pory ludził się nadzieją na odrobinę szczęścia dla siebie, teraz jednak doszedł do gorzkiego przekonania, że sam siebie oszukiwał.

Niemal bezszelestnie pojawił się obok niego Perrigo. Podszedł też Ferd Bowie, rzucając nikły cień za Nickiem. Z mroku wyłonili się również Brann, Ed i dziewczyna.

— Czy można go przetransportować? — zapytał Surratt.

— Nie, w żadnym wypadku — odparł Brann. — On i tak stracił już zbyt wiele krwi.

— A gdzie chciałby go pan zawieźć? — zapytał Perrigo.

— Byle dalej od tego miejsca — wyjaśnił Surratt. — Za góry.  
— Pociągnął z fajki. — Nie mam w zwyczaju poddawać się tak łatwo — mówił dalej. — Ale Sam przegrał tę walkę. Bill Head może zjawić się tu z czterdziestoma, pięćdziesięcioma zbirami. To tylko kwestia czasu, kiedy nas znajdą. Nie chciałbym, aby Sam wpadł teraz w ich łapy.

— Nie może go pan stąd wywieźć — powtórzył Brann uparcie i zdecydowanie. — On nie może teraz ani jechać konno, ani chodzić.

Stali przez chwilę w milczeniu, zastanawiając się, co robić dalej. Ferd Bowie oddalił się pierwszy. Surratt odprowadził go wzrokiem. Perrigo odwrócił się i poszedł za tamtym. Brann mruknął:

— To by było tyle na dziś

Razem z Edem wrócił do jaskini. Judith pozostała przy Bucku. Przez dłuższą chwilę milczeli, wreszcie powiedziała ze smutkiem w głosie:

— Kiedy traci się nadzieję, to tak jakby gasła świeca.

Nie patrzył na nią, kiedy odparł:

— Powinna pani wrócić na rancho.

— Nie, zostanę tu.

— Niech i tak będzie — powiedział. Oddalił się trochę od jaskini i usiadł na ziemi.

Patrzyła na niego niezdecydowana, wreszcie usiadła obok, opierając się o jego ramię.

— Chyba nie ma pan nic przeciw temu? — zapytała cicho.

— Nie.

Podwinął nogę i splótł dłonie na kolanie. Judith wyciągnęła rękę i dotknęła lekko jego pięści, budząc w nim osobliwe, niezrozumiałe uczucie. Wziął jej drobną dłoń w swoje ręce. Natychmiast obróciła się ku niemu, opierając mu głowę na piersi, i zaszlochała z cicha. Surratt objął ją ramieniem i przytulił do siebie. Zapach jej włosów pobudził wszystkie jego zmysły. Leżała cicho, powoli uspokajała się. Surratt nie potrafił dłużej walczyć z ogarniającym go pragnieniem. Szepnął:

— Judith...

Uniosła trochę głowę i wtedy ją pocałował. Jej wargi były chłodne i obojętne.

Wreszcie Judith wyprostowała się. Siedzieli przez chwilę w milczeniu. Surratt nie widział powodu, dla którego miałby ją teraz przeproszać, nie miał też żadnych wyrzutów sumienia. Odezwał się spokojnym głosem:

— Sam to równy facet. A ja znam jeszcze kilka sztuczek. Wypróbuję je teraz, żeby mu pomóc.

— A potem?

— Nie wiem. Od dawna już nie zastanawiam się nad tym, co mi przyniesie przyszłość.

— Jest pan mądrym człowiekiem, Buck — powiedziała miękko — ale chyba nie na tyle, by wiedzieć, dlaczego powinienam teraz płakać.

— Szczęście uśmiecha się nieraz do najbiedniejszych z nas — mruknął Surratt. — Do mnie też uśmiechnęło się na krótko. I o tym będę mógł wspominać przy wielu ogniskach.

Wstała spiesznie i weszła z powrotem do jaskini.

• • •

Z dala dobiegło ich echo wystrzału.  
— Zbliżają się — stwierdził Brann.  
— W górach roi się teraz od jeźdźców Heada — potwierdził Surratt.

Judith rzuciła spojrzenie na Torveena.  
— To okropne, siedzisz tu w pułapce jak szczur, Sam! Czy nie moglibyśmy poddać się szeryfowi Ranierowi?

— Ranierowi! — parsknął wzdorliwie Brann. — Temu łajdakowi!

Znowu rozległ się huk wystrzału — tym razem w pobliżu. Echo wstrząsnęło skalnymi ścianami.

— Nie ruszać się! — krzyknął ostro Surratt i wybiegł z jaskini. Jaskrawe promienie słońca oślepiły go na moment, wydawało mu się jednak, że wie, skąd padł strzał. Wdrapał się na strome zbocze i ujrzał jakiegoś jeźdźca, który zniknął akurat w krzakach. Usłyszał nagle słaby głos Perriga. Odszukał miejsce, skąd doszedł go ten głos: niedużą polanę jakieś dwadzieścia metrów dalej. Tu zobaczył Perriga, który próbował bezskutecznie podnieść się na łokciu. Na widok Bucka opadł z powrotem na ziemię i zawołał:

— Niech pan uważa, Surratt!

Buck przycupnął obok niego.

— Tamtemu udało się uciec. Kto to był?

Perrigo zaniósł się kaszlem — powolnym, uporczywym; nieprzyjemnym. Jego drobne ciało rzucało się na wszystkie strony.

— Wiedziałem, że któregoś dnia dojdzie do tego — wydyśzał, kiedy minął atak.

— Czy to Bowie?

— Bowie? Nie. Zresztą nie mówmy o tym. Do diabła z Martinem Headem! On wiedział o wszystkim przez cały czas. Ma pan w nim strasznego przeciwnika, Surratt!

Z niewielkiej, okrągłej rany na jego piersi ciekła krew. Perrigo przycisnął do niej dłoń i mruknął:

— Niech pan posłucha, Surratt: to ja zabiłem Leslie'go Heada. Dlatego nie ufałem panu od pierwszej chwili. Myślałem, że pan wie, kto to zrobił. Surratt, niech pan uważa dobrze na moją dziewczynę!

— Co? — wykrzyknął Buck.

— Annette... — szepnął Perrigo. — Trzymaliśmy to w tajemnicy... pani Carvel i ja. Annette nie wie o tym, ale jest moją dziewczyną. Wyrastała jak kwiat, który potrzebuje słońca. Za bardzo wierzyła mężczyznom, zawsze pragnęła, żeby mężczyźni szaleli za nią. Co do mnie, to czułem, że do tego dojdzie, wtedy, z Leslim. Był jak pies i zdobył to, o co mu chodziło. Przykro mi, że usunąłem go z drogi. Ale musiałem to zrobić... żeby już nigdy nie mógł sprawić jej bólu. — Umilkł na chwilę, aby zebrać resztkę sił. — Mój Boże, Surratt, jakże nienawidziłem tych wszystkich mężczyzn! Również pana. Ale to był błąd. Obserwowałem pana i wreszcie przekonałem się, że jest pan człowiekiem uczciwym. W przeciwnym razie nie byłby pan teraz tu, nie walczyłby za Torveena. Niech pan zatroszczy się o moją dziewczynę! Nie boję się myśli o piekle: przeżyłem je już na ziemi, ponieważ kochałem dziewczynę, która nie należała do mnie...

I to były jego ostatnie słowa. Surratt zorientował się, że Perrigo nie żyje. W tej samej chwili usłyszał jakiś szelest. Instynktownie rzucił się na ziemię i przeturlał nieco dalej. W ten sposób uniknął kuli, która tuż obok niego wyryła w ziemi głęboką bruzdę. Echo wystrzału przetoczyło się po całej dolinie. Po drugiej stronie stał Ferd Bowie, celując znowu w Surratta. Buck wyrwał rewolwer z kabury i strzelił, ale kula chybiła celu.

Bowie pochylił się i dał susa w gęste zarośla. Surratt strzelił po raz drugi, po czym skoczył na równe nogi i pognął w tamtym kierunku. Słyszał głośne przekleństwa Bowie'ego i wreszcie przystanął, w obawie przed zasadzką. Bowie dopadł tymczasem konia i pomknął galopem w głąb lasu.



## 13.

Judith, Ed i Brann stali u wejścia do jaskini. Patrzyli na, niego pytającym wzrokiem. Nie tracąc czasu na zbędne wyjaśnienia, powiedział tylko:

— Straciliśmy Perriga.

Judith spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczami, w których widniało przerażenie, Brann natomiast nie wyglądał na zaskoczonego.

— A co oznaczały te inne strzały? — zapytał.

— Bowie — mruknął Surratt. — Ale nie trafił mnie. A potem dał drapaka.

— Ten pies nas zdradzi — powiedział cicho Ed.

— Która godzina? — zapytał Buck.

— Krótco po trzeciej — odparł Brann.

— Te strzały i tak nas zdradziły — podsumował Surratt. — O tym, że tu jesteśmy, wie również ten typ, który wykończył Perriga. Niebawem wszyscy z Crow Track zaczną przeszukiwać ten teren. Do zmroku mamy jeszcze cztery godziny. Brann, kiedy będzie można przenieść stąd Sama?

— Przypuszczam, że jutro, ale nie będzie mógł się poruszać o własnych siłach.

Surratt wszedł do jaskini, stanął przed Torveenem i zakomunikował zwiędle:

— Ktoś zaczął się na Perriga i zastrzelił go, a Ferd Bowie uciekł.

— Słyszałem tę strzelaninę — westchnął Torveen.

Usiłował się podnieść, ale natychmiast opadł z powrotem na posłanie. — Do diabła! — zgrzytnął zębami. — Wolałbym już nie żyć, niż leżeć tak beczynnienie!

Jego wycieńczenie było aż nadto widoczne. Surratt domyślił się, że Brann nie powiedział mu całej prawdy o stanie zdrowia Sama. Nie chcąc męczyć przyjaciela dłuższą rozmową, wyszedł znowu na zewnątrz, zbliżył się do Branna i powiedział:

— Kiedy zapadnie zmrok, Torveen musi być gotów do wymarszu. Pana w tym głowa, jak to zrobić. Nie udamy się jednak wyżej w góry, jak zapewne spodziewa się tego Head, ale zejdziemy na dół. Do domu Temple'a jest chyba sześć mil. Bill Head z pewnością nie wpadnie na pomysł, by szukać Torveena właśnie tam, tak blisko Morgantown.

— No, raczej nie — przyznał Brann. — Ale...

— Zdaje się, że grywa pan w pokera? — przerwał mu Surratt. Rzucił na Branna krótkie spojrzenie, podszedł do konia, dosiadł go i ruszył przed siebie.

• • •

Ferd Bowie ściągnął raptownie konia na widok Pokeya, który pięćdziesiąt metrów dalej wyłonił się nieoczekiwanie spośród zarośli.

— Dokąd to, Ferd? — zapytał Pokey.

— Mam już tego wszystkiego po dziurki w nosie — warknął Ferd. — Zmywam się stąd.

— Jeżeli nie chcesz dostać kulka w łeb, to pojedź lepiej w odwrotnym kierunku — poradził Pokey.

— Chciałbym z panem porozmawiać — powiedział Bowie.

Pokey milczał obojętnie.

— Czy chciałby się pan dowiedzieć, gdzie jest Surratt?  
— Dlaczego chcesz mi o tym powiedzieć?  
— Chce pan się dowiedzieć czy nie? — wykrzyknął Bowie, rozglądając się nerwowo na wszystkie strony.

— Niech pan pojedzie tą drogą wzdłuż brzegu jakieś trzy mile. Tamci ukryli się w jaskini za zakrętem.

— No, no, a więc sprzedajesz Sama Torveena? — mruknął Pokey. — Wspaniale, naprawdę wspaniale, Ferd. Sprzedajesz człowieka, który do tej pory troszczył się o ciebie, jak tylko mógł. To naprawdę wspaniale!

— Tam jest Surratt! — powiedział Bowie, a kiedy wymawiał to nazwisko, z jego głosu wprost biła nienawiść.

— Rozumiem— odparł Pokey. — Rozumiem. — Zatoczył koniem, wyciągając zarazem rewolwer. Bez żadnych wyrzutów sumienia czy litości strzelił szybko trzy razy do Bowie'ego. Trzecia kula dosięgła Ferda w momencie, kiedy podjął ostatnią, rozpaczliwą próbę zdobycia broni. Nie zdążył jej jednak nawet wyjąć z kabury; śmierć dosięgła go w siodle i zrzuciła na ziemię.

Pokey obrzucił zabitego krótkim spojrzeniem, nabił rewolwer, po czym ruszył truchtem w stronę przełęczy. Tam natknął się na Billa Headę i Hankę Peyrollesa, którym towarzyszyła grupa jeźdźców. Byli to ludzie Headę, Peyrollesa i Camerona. Kersom ze swoimi kowbojami przeczesywał widocznie inną okolicę.

— Kto to strzelał? — zapytał Bill.

— Ktoś z tamtego kierunku — odparł Pokey, wskazując ręką gdzieś na zachód, gdzie słońce zbliżało się już do widnokregu.

— A pan gdzie był?

— Chciałem się trochę rozejrzeć.

— I co? Znalazł pan coś ciekawego?

— Nie — odparł Pokey. — Zupełnie nic.

Z lasu wyłaniali się kolejni jeźdźcy. Widocznie i oni chcieli się dowiedzieć, kto strzelał.

Nieoczekiwanie odezwał się skądś karabin. Huk wystrzałów tworzył regularną kanonadę. Jeźdźcy spiesznie kryli się w zaroślach. Strzelanina nie ustawała. Bill Head, ukryty między dwoma krzakami, kiwnął na Peyrollesa.

— Niech pan patrzy, skąd padają strzały.

— Dobrze.

Bill przesunął się za drzewo:

— Jeżeli ten typ nie chce, żebyśmy go zobaczyli, nie może przejść na drugą stronę drogi — mówił dalej do Hanka. — Nie dojdzie też do rzeki. Niech pan weźmie swoich chłopców, objeździe to wzgórze i odetnie mu drogę z tamtej strony.

— Komu: mu?

— To nikt inny jak Surratt — odparł Bill. Odwrócił się i zaczął wydawać swoim ludziom precyzyjne rozkazy.

Peyrolles i jego kowboje zniknęli w ciemności.

Bill Head pędził co tchu, by dosiąść konia. Nie mógł doczekać się momentu, kiedy zatriumfuje nad Surrattem. Wziął ze sobą dziesięciu jeźdźców, polecając innym, by zostali w ukryciu.

Pokey siedział spokojnie w siodle. Skręcił papierosa, zapalił i nasłuchiwał przez moment oddalającego się tętentu. Strzały z karabinu ucichły. Słońce skryło się już za horyzontem, ale Pokey nadal palił papierosa zatopiony w myślach. W pewnym momencie nawet lekko się uśmiechnął, co zdarzało się u niego niezwykle rzadko. Wreszcie trącił konia piętami. Nie upłynęła jeszcze godzina, kiedy stał już w salonie na ranchu Head'a, składając Martinowi dokładną relację z przebiegu wydarzeń.

— W porządku, Pokey, a teraz każ zaprzęgać — polecił Old Martin. — Zawieziesz mnie do Morgantown.

## 14.

Surratt przewidział manewr Head'a i wycofał się w porę. Słyszając za sobą tętent pogoni, przynaglił konia bez przerwy, a po dwóch milach dotarł do bocznej drogi, wiodącej z jakiegoś dzikiego terenu na południu. Skręcił w nią i znalazł się po godzinie przed domem Temple'a. W środku nie było nikogo, zauważył jednak przyczepioną do drzwi kartkę. Widniało na niej tylko jedno słowo: MORGANTOWN, i Buck nie wiedział, czy ta wiadomość jest przeznaczona dla niego. Po krótkim namyśle postanowił zastosować się do wskazówki i obrał drogę do miasta.

Morgantown otulał już mrok. Z saloonu wyszedł jakiś mężczyzna, kierując się w stronę banku. Na werandzie hotelu siedziało dwóch ludzi. Gdzieś dalej ktoś brzdąkał na gitarze. Drzwi pracowni krawieckiej były otwarte, na ulicę padała smuga światła.

Surratt jechał dalej środkiem ulicy. Przez otwarte drzwi dojrzał Annette Carvel. Chciał już zatrzymać konia, kiedy od strony werandy padło jego nazwisko.

— Surratt...

Podjechał bliżej. Obok starego Martina Head'a siedział Tom Bolderbuck. To on zawołał Surratta, a teraz zapytał:

— Dlaczego...?

— Torveen jest tu? — odparł pytaniem Surratt.

— Nie.

Old Martin obrzucił Surratta badawczym spojrzeniem. Wahadłowe drzwi do saloonu skrzyknęły w zawiasach. Buck zerknął przez ramię i ujrzał nadchodzącego Pokeya. Pokey poznał go również i stanął jak wryty. Był najwidoczniej przerażony. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, wreszcie tamten powiedział spokojnie:

— Niech i tak będzie. — Ominął Surratta i usiadł na wolnym krześle, obok Heada i marszałka.

— Surratt, czy pan... — zaczął Bolderbuck.

Martin Head przerwał mu grzmiącym tonem:

— Niech pan przestanie, Tom!

Surratt zajeżdżał się bacznie dokoła, uśmiechając się przy tym. Martin Head zauważył ten uśmiech, westchnął i odchylił się do tyłu.

— Ma pan coś jeszcze do powiedzenia, Tom? — zapytał Surratt.

— Nie.

Surratt zawrócił konia i podjechał do pracowni krawieckiej.

Annette stała tyłem do drzwi. Słyszac jego kroki, odwróciła się i natychmiast na jej twarzy odmalowały się wszystkie przepełniające ją uczucia: radości, ulgi i miłości. Trwało to jednak tylko przez krótki moment, gdyż już w następnej chwili jej mina wyrażała wyłącznie strach. — Nie powinien był pan tu przyjeżdżać! — wykrztusiła.

— Annette... — rozległ się kobiecy głos.

Surratt obrócił się. W drzwiach do sąsiedniego pokoju stała pani Carvel.

— Kto jest teraz w mieście? — zapytał szybko Buck.

— Old Martin.

— I jeszcze ktoś?

— Nie — mruknęła. — Ale wkrótce zjawi się cała reszta.

— A Torveen? Brann? Panna Cameron? Nikogo z nich nie ma w mieście?

— Nie. A mieli tu być?

Potrząsnął głową i nastawił ucha, kredy na ulicy rozległ się tętent kopyt, ale po chwili wszystko ucichło. Surratt wiedział, że musi przekazać tę informację, nie mógł jednak znaleźć właściwych słów. Spojrzał na panią Carvel i zdjął kapelusz.

— Dziś po południu został zabity Nick Perrigo — oznajmił po prostu.

Pani Carvel wsparła się ręką o framugę i spuściła głowę. Annette wodziła po nich zaciekawionym wzrokiem: od Surratta do matki i z powrotem.

— Co to za jeden? — zapytała.

— Na swój sposób był człowiekiem uczciwym — odparł Surratt. — Byłem przy nim, kiedy umierał, wiem, że żałował wielu błędów, jakie popełnił dawniej. — Zwrócił się wprost do Annette. Bardzo panią lubił i powiedział, że pamięta panią jeszcze jako małą dziewczynkę.

— Naprawdę? — zapytała zdumiona. — Pamiętał mnie?

Jej matka z trudem hamowała łzy.

— Dziękuję panu — szepnęła, po czym wyszła do drugiego pokoju.

— Nie rozumiem tego wszystkiego — mruknęła Annette.

Surratt potrząsnął głową.

— Nie szkodzi. Ale może przyda się pani wiadomość, że ta rękawiczka nic nie znaczy. Jest pani wierna swoim przyjaciołom — to zaleta godna szacunku. Jeżeli znajdzie pani kiedyś mężczyznę, zasługującego na taką wierność, będzie mógł się uważać za wybrańca losu.

Powoli odwróciła się w drugą stronę.

— Buck, proszę — szepnęła. — Proszę!

Surratt nacisnął klamkę i wyszedł na ulicę. Podszedł do swego konia i już wsuwał nogę w strzemień, kiedy nagle spojrzął na werandę, wysunął z powrotem nogę i przeszedł na środek ulicy.

Old Martin i Tom Bolderbuck siedzieli nadal na swoich miejscach, ale teraz dołączył do nich ktoś trzeci. Od ulicy widać było tylko jego plecy, ale Martin odezwał się właśnie wystarczająco głośno, by mógł go usłyszeć również Surratt:

— Odwróć się, Bill!

Bill Head zapytał: — Co takiego? — ale jednak odwrócił się i ujrzał Surratta. Wstał, szedł z trotuaru i również zatrzymał się na ulicy.

Obaj stali teraz twarzą w twarz, oddaleni od siebie zaledwie o jakieś dziesięć metrów.

— Czego pan tu szuka, Surratt? — zawołał Bill.

Surratt milczał. Wszelkie słowa były teraz zbyt ciche.

Stał pochylony lekko do przodu, jego ręce zwisały swobodnie po bokach.

— Surratt! — krzyknął Bill. Zatopił wzrok w twarzy przeciwnika, kąciaki ust drgnęły mu nieznacznie. To był właśnie sygnał; Surratt widział go już wiele razy u mężczyzn, którzy wyzwalali go do walki. Wyciągnął broń — o ułamek sekundy wcześniej niż Bill.

Ale to nie jego strzał przerwał ciszę. Buck jeszcze celował, kiedy Bill zaczął strzelać na oślep. Jedna z kul wzbijała przed stopami Surratta tuman kurzu, druga świsnęła mu obok prawego policzka. Grzmiące echo przetaczało się po zabudowaniach miasta, Surratt zaś nie odrywał wzroku od szerokiej pierśi Billa. Strzelił tylko raz, nie więcej; był najzupełniej pewny swego.

Bill Head stał przez chwilę jak skamieniały, a na jego twarzy



pojawił się wyraz bezgranicznego zdumienia. Potem nogi ugięły mu się w kolanach i runął do przodu — martwy już w momencie, gdy padał na ziemię. Kapelusz spadł mu z głowy, odslaniając jasne włosy.

Surratt liczył się z tym, że niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło, cała jego uwaga skupiona była jednak przede wszystkim na werandzie hotelu. Pokey zamarł, Bolderbuck cofnął się pod ścianę. Old Martin siedział nieruchomy.

Surratt podszedł bliżej i zatrzymał się przed werandą.

— To niewiele da, jeśli powiem, że jest mi przykro — powiedział do Martina. — Przybyłem w te okolice bez żadnych złych zamiarów i stanąłem u boku człowieka, z którym się zaprzyjaźniłem. Taki jest koniec tej historii — jak zwykle. Nie czuję żalu. Może...

Odwrócił się błyskawicznie: do miasta wkraczała kolumna jeźdźców. Pomiędzy dwoma pierwszymi końmi umocowane były nosze. Surratt rozpoznał George'a Bernaya i Blackjacka Smitha, wiedział też, kto znajduje się na noszach, nie ruszał się jednak ze swego miejsca. Od jeźdźców odłączył się Doc Brann, zatrzymał się przed zwłokami Billa, potem obrzucił ostrym spojrzeniem Bucka. Zsiadł z konia i ukląkł przy zabitym. Po krótkim badaniu wstał z powrotem.

Kolumna zatrzymała się przed hotelem, jeźdźcy zbliżyli się, aby zobaczyć, kto leży na ulicy. George Bernay szepnął:

— Mój Boże...!

Na noszach leżał Sam Torveen. Rozglądał się teraz dokoła, pytając słabym głosem:

— Co się stało?

Z tyłu nadjechała Judith Cameron. Rzuciła Surrattowi długie, osobliwe spojrzenie, po czym ruszyła dalej do pracowni krawieckiej.

Od strony gór pojawił się jeszcze jeden jeździec. Już z daleka wołał:

— Nadchodzą! Nadchodzą!

— Zanieście Sama do hotelu! — polecił George.

Zeskoczył z siodła i zaczął odwiązywać nosze. Horsfall i Temple pomogli mu, po czym we trójkę wnieśli nosze do budynku.

Surratt spojrzął na grupę jeźdźców. Blackjack Smith z czterema ludźmi, trzech przyjaciół Torveena, których znał. Ale pozostałych widział po raz pierwszy. W sumie było ich około dwudziestu. Blackjack podjechał do niego.

— Co pan teraz zamierza? — zapytał krótko.

— Rozdzielcie się na ulicy — powiedział Surratt.

Usłuchali polecenia.

Surratt przyglądał się, jak tamci zajmują stanowiska, po czym skinął głową.

— Tak będzie dobrze. Ale pamiętajcie: strzelajcie dopiero wtedy, kiedy oni zaczną.

Z hotelu wybiegli Bernay, Temple i Horsfall, dosiedli koni i dołączyli do Surratta.

Buck patrzył bacznie na ludzi Heada, wjeżdżających do miasta. Na ich czele znajdowali się Peyrolles i Dutch Kersom. Obaj zorientowali się od razu, co ich czeka. Peyrolles podniósł dłoń do góry, wstrzymał całą kawalkadę. Zatrzymali się na wysokości banku. Peyrolles przechylił się w siodle i zawołał:

— Jeżeli chcecie walki, będziecie ją mieli!

Kersom milczał. Szeryf Ranier podjechał bliżej do Peyrollesa.

— Niech pan zaczeka! — powiedział.

— Zamknij się! — ryknął Peyrolles.

Ale Dutch Kersom wskazał nagle ręką na ciało Billa Heada, leżące nadal w pyle ulicy. Do tej pory nikt go nie zauważył.

Peyrolles zgrzytnął zębami. Hughie Grant dźgnął konia piętami, przeciskając się do przodu, wsparł się oburącz o łąk siodła i wbił wzrok w ciało Billa. Wyraz jego twarzy nie uległ zmianie, uczynił jednak coś, o czym nikt inny nie pomyślał do tej pory: zdjął kapelusz, przytrzymał go przez moment w górze i dopiero potem nałożył z powrotem na głowę. Był to jego ostatni gest, wyrażający szacunek dla zmarłego. Następnie skierował wzrok na Surratta i wykrzyknął:

— Przeklęty rewolwerowiec! Kto pana prosił tu do nas?

Surratt nie odpowiedział, spojrzał natomiast na Martina Heada.

— Ilu jeszcze ludzi ma zginąć? — zapytał. — To była wojna pańskiego syna. Ale on nie żyje. Jego duma nic już nie znaczy. Może pan przekształcić tę ulicę w cmentarz, jeśli pan chce, ale nic się przez to nie zmieni, niczego pan nie cofnie.

Old Martin milczał, ale Peyrolles zawołał zapalczywie:

— Załatwmy wreszcie tego draba!

I wtedy Old Martin zagrzemiał:

— Peyrolles i Kersom, zbliżcie się do mnie! Jesteście mi teraz potrzebni. Pan też, Surratt, proszę do mnie!

Surratt ruszył w jego stronę. Tamci również szli teraz przez ulicę, ale Martin wpatrywał się tylko w Surratta.

— Wprowadźcie mnie do hotelu — powiedział. — Niech wejdą tam też Bolderbuck i Ranier. I pan, Bernay.

Wszyscy, których wymienił, zastosowali się do jego wezwania bez sprzeciwu. Surratt podszedł do wózka, na którym siedział stary, i obrócił go w ich stronę.

Old Martin zaczął głosem człowieka, który wie, że przegrał.

— Miałem trzech synów. Pierwszy z nich oddał życie za

sprawę Południa. Minęło już wiele lat, ale pamięć o nim nie wygasła we mnie. Dwaj pozostali nie byli wiele warci. Teraz nie żyje już żaden z nich. Jestem starym człowiekiem i przekonałem się, że samotność jest okropną rzeczą. Żyję już długo, może nawet za długo. Gdybym był młodszy, Surratt, stanąłbym przeciw panu — dla samej przyjemności walki. Walka znaczyła dla mnie zawsze tyle, co życie — i jest tym samym dla pana, chociaż pan nie zdaje sobie może z tego sprawy. Niewielu jest takich ludzi jak my.

Peyrolles przerwał mu gniewnym tonem:

— Martin, to jest człowiek, który zabił twego syna!

— Mój syn sam zaintonował tę pieśń i dlatego musiał wysłuchać jej do końca. To był uczciwy pojedynek, a Surratt okazał się lepszy. Gdyby tego nie zrobił, musiałbym nim teraz gardzić. Tak właśnie mężczyźni powinni postępować, kiedy zawodzą słowa. To surowa zasada, ale sprawiedliwa. A teraz podejmiemy decyzję, Hank, która będzie obowiązywała do końca naszego życia. Będzie więc tak: przeprowadzimy linię od wierzchołków Gray Bull do wzgórza Camerona. Na północ od tej linii pozostanie bydło. Ten teren będzie dla bydła, ponieważ żyjemy tam: ja, Dutch i Ab, a bydło to sens naszego życia. Na południe od tej granicy niech pasą się stada owiec. W ten sposób ułatwi się życie młodym. Czas walki minął.

Peyrolles zadarł butnie głowę.

— Nie dla mnie, Martin!

Head wzruszył ramionami.

— Twoja wola, Hank. Ja w każdym razie wycofuję swoich ludzi. Ab Cameron i tak nie chciał mieć z tą sprawą nic wspólnego. Co chcesz zrobić ze swoimi dziesięcioma kowbojami? A Dutch, który ma ich tylko dziewięciu? Surratt, niech pan weźmie tych ludzi, których podesłał panu Bernay, pojedzie z nimi

na rancho Peyrollesa i spali mu dom. No, Hank, jak ci się to podoba? Ja w każdym razie przestaję ci pomagać od tej pory.

— Nie rozumiem twego postępowania — mruknął szorstko Peyrolles.

— Powiedz swoim chłopcom, żeby wracali na rancho — zagrział Old Martin.

Peyrolles obrócił się do Kersoma, stojącego z boku, ten jednak wzruszył tylko ramionami. Ten gest wyprowadził Hanka z równowagi.

— Dlaczego nic nie mówisz? — wybuchnął. — Cóż to, zapomniałeś języka w gębie?

— Wydaje mi się, że powinniśmy posłuchać Martina — odparł lakonicznie Dutch.

Peyrolles zgrzytał wprawdzie zębami, ale stopniowo kapitulował.

— Trudno, niech tak będzie! — mruknął. Obrzucił Surratta nieprzyjaznym spojrzeniem. — Ale niech pan przypadkiem nie próbuje przekraczać tej linii! — dodał. Zawrócił na pięcie i zszedł z werandy. Słysząc było, jak gromkim, szorstkim głosem wydaje swoim ludziom rozkazy.

— Przyrowadź wóz, Pokey — odezwał się Old Martin. — Chciałbym pojechać już do domu.

Surratt podszedł do niego i powiedział cicho, niemal ze smutkiem:

— Żałuję bardzo, że w tym, co przytrafiło się panu, moja rola była taka a nie inna.

Martin wzruszył ramionami.

— Takie rzeczy się zdarzają. A pańskie słowa są godne prawdziwego mężczyzny. Chciałbym mieć takiego syna jak pan, Surratt. Pokey, w drogę!

Surratt skinął na Bernaya, przeszli przez hall i zatrzymali

się przed otwartymi drzwiami. Nie weszli jednak do środka, gdyż Torveen, którego niedawno tu przeniesiono, spał właśnie.

— Graliśmy o wysoką stawkę — szepnął z uśmiechem Buck. — Ale ryzyko opłaciło się. Teraz jest już chyba wszystko w porządku. — Wyszli razem na werandę, przyglądając się, jak ludzie z Crow Track przenoszą Martina na powóz.

— A co teraz? — zapytał Bernay.

Przez ulicę przechodził właśnie Doc Brann. Spojrzał na Surratta i zatrzymał się przed nim.

— Niech pan wstąpi do mnie — zaproponował. — Może pan skorzystać z mojego łóżka. Człowieku, wyglądasz jak z krzyża zdjęty!

— Dziwi się pan? — zapytał Surratt. Czuł, że goni resztkami sił. Przypomniawszy sobie, że nie odpowiedział jeszcze Bernayowi na jego pytanie. — Wie pan, George — zwrócił się do niego — nigdy nie należy interesować się, co przyniesie jutro. Nieraz wystarczy już, że ono w ogóle jest.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył w stronę banku. Wszyscy jeźdźcy opuszczali powoli Morgantown. Ciało Billa zniknęło z ulicy. Z pracowni krawieckiej wyszła Judith. Towarzyszył jej Ab, który od momentu rozpoczęcia strzelaniny nie pokazał się do tej pory na ulicy. Surratt wszedł na górne piętro po zewnętrznych schodach banku. W mieszkaniu Branna znalazł na stole butelkę whisky. Upił spory łyk, rozebrał się i położył do łóżka. Zanim usnął, obmyślał przez chwilę drogę, która doprowadziłaby go rankiem najszybciej do przełęczy Gray Bull.

• • •

Kiedy zbudził się, Doc Brann siedział przy stole, rozkoszując się porannym cygarem. Spojrzał na Bucka z uśmiechem.

— Przybory do golenia znajdzie pan na półce. Człowieku, spał pan przez cały czas jak zabity! — Umilkł na chwilę, po czym dodał: — Nie wiem, skąd pan czerpie tyle sił, Surratt. Nikt tu się nie spodziewał, że z pana taki dynamit.

Surratt ogolił się i zapalił papierosa. Wyrzwał przez okno, zabrzączał monetami w kieszeni i zapytał:

— Jak się czuje Sam?

— Wszystko w porządku. A pan co teraz zamierza?

Nie musiał jednak o to pytać, mógł się domyślić, jaka będzie odpowiedź: czuł trawiący tamtego niepokój — niepokój kogoś, kto nie wie, co zrobić ze swą energią. Ten człowiek nie nadawał się do normalnego życia, twierdził wprawdzie, że nienawidzi walki, ale było to oszukiwanie samego siebie. Surratt łaknął stale walki i ostatecznego zwycięstwa. Znajdował się na niekończącym się, mrocznym od dymu wystrzałów szlaku. Był jak poszukiwacz złota, opętany żądzą odkrycia bogatej żyły. Trudno było przypuścić, by Surratt przewyciężył ten wewnętrzny niepokój, a ponieważ tu nie było już możliwości odnoszenia zwycięstw, należało liczyć się z tym, że pojedzie dalej, na spotkanie nowej walki. Oto rozwiązanie zagadki Bucka Surratta, pomyślał Brann.

Potrząsnął głową i powtórzył pytanie:

— Co pan teraz zamierza?

— Jeszcze przed południem muszę znaleźć się na przełęczy — mruknął Buck. Odwrócił się do Branna i uśmiechnął ze skruchą. — Przed południem łatwiej jest marzyć.

— Pański koń stoi w stajni — powiedział Brann. — W każdej chwili może go pan stamtąd odebrać.

Na schodach rozległy się kroki, ktoś zapukał do drzwi i do środka wszedł Pokey. Skinął nieznacznie głową.

— Old Martin chciałby z panem porozmawiać, zanim pan wyruszy w drogę — powiedział. — Jest teraz na ranczo.

— A skąd on wie, że wyjeżdżam? — zapytał Surratt.

Odpowiedzi udzielił Brann:

— Bo zna pana dobrze, tak jak ja.

— Proszę mu powiedzieć, że bardzo mi przykro, iż sprawiłem mu taki ból. Proszę mu powiedzieć, Pokey, że bardzo chętnie pracowałbym dla niego. I proszę pożegnać go ode mnie.

Wyszedł na ulicę i udał się do stajni.

— Może pan coś dla mnie zrobić? — poprosił stajennego. — Niech pan osiodła mojego konia, dobrze? Niedługo wrócę.

Wszedł do hotelu i zamówił śniadanie. Następnie odwiedził Torveena. W jego pokoju zastał Judith oraz Bernaya. Na jego widok przerwali rozmowę.

— Nie należy wywoływać wilka z lasu — zażartował — bo może się zdarzyć, że jest tuż-tuż.

— Słusznie — burknął Torveen.

Wyglądał już trochę lepiej.

— I co? — zapytał Surratt.

— Tak, wiem już wszystko — mruknął Torveen.

— Miał pan tu swoją zabawę, a teraz chce ulotnić się stąd jak najszybciej.

— To prawda — przyznał Buck. — Zawsze był ze mnie taki niespokojny duch. Ale jedno muszę panu powiedzieć. Sam. Jest pan pierwszym rudowłosym hodowcą owiec, jakiego poznałem.



— Jak ja się panu odwdzięczę? — szepnęła Torveen.  
Bernay opuścił pokój.  
Judith stała za Buckiem. Nie mógł nie czuć jej obecności..  
— Nie mówmy już o tym, chłopie — odparł Surratt. — Obaj, jak powiedziałaś, mieliśmy swoją zabawę — i to wystarczy.  
Torveen spojrział nagle na niego z zainteresowaniem.  
— Jednej rzeczy nie rozumiem do tej pory. Ten Blackjack Smith... skąd właściwie zna pan tego człowieka?  
— Poznaliśmy się po tamtej stronie pustyni — uśmiechnął się Buck. — Był bydłokrądem. Wiedliśmy ze sobą taką niewielką prywatną wojnę, a potem przeniósł się tu.  
— Zamyślił się, po czym spojrział Torveenowi prosto w oczy.  
— Skoro już o tym mówimy — odezwał się znowu — to po co zjawiał się pan tamtego popołudnia w Carson Ford?  
— Pan też tam był?  
— Rozmawiałem z Blackjackiem w drugim pokoju, zanim jeszcze pan tam przyjechał.  
— Chciałem, żeby mi pomógł — wyjaśnił Torveen. — Byłem tak zrozpaczony, że przystałbym nawet na układ z bydłokrądem. Ale on nie chciał zobowiązywać się do niczego.  
Surratt uśmiechnął się.  
— No, teraz Blackjack znalazł się w nie lada tarapatkach — powiedział. — O ile go znam, nie będzie kradł bydła przyjacielowi, a przecież zyskał tu sobie wielu przyjaciół.  
— Buck... — odezwała się Judith.  
Odwrócił się do niej, a uśmiech zniknął z jego twarzy w jednej chwili.

— Buck... — powtórzyła z wahaniem. — Ta rękawiczka... to był przypadek. Mówię panu o tym dlatego, że nigdy pan o to nie pytał. Rękawiczkę zgubiłam już dawno temu. Les nosił ją stale w kieszeni. Tam ją pan znalazł?

— Nie, na podłodze.

— To do niego podobne — mruknęła. — Nienawidził Billa, a wiedział, że zależy mu na mnie. Myślę, że tuż przed śmiercią rzucił ją umyślnie na podłogę, po to, by ktoś ją znalazł. To była jego zemsta na Billu. Bill miał pomyśleć, że Les osiągnął u mnie to, do czego on sam dążył bezskutecznie. Z pewnością nie pomyślał, że tym samym wyrządza i mnie krzywdę.

— Nigdy w panią nie wątpił — powiedział spokojnie Surratt, po czym odwrócił się z powrotem do Torveena. — Cóż, w każdym razie życzę wam obojgu wiele szczęścia. Cieszę się, że miałem choć przez tak krótki czas dobrych przyjaciół. To wszystko, co mogę powiedzieć.

Torveen westchnął i powiódł po nich wzrokiem: od Surratta do Judith i z powrotem. W jego głosie zabrzmiały teraz podziw i zarazem zdumienie.

— Niektórzy ludzie pozostawiają po sobie niezatarte wrażenia. Czy moglibyśmy kiedykolwiek zapomnieć o panu, Buck?

— Życzę panu szczęścia, Sam — odparł Surratt i spiesznym krokiem wyszedł z pokoju. Przystanął jednak na korytarzu, dostrzegł bowiem, że Judith również opuściła pokój. Zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie plecami, patrząc na niego zagadkowym wzrokiem. Nie próbował nawet zrozumieć, co jej mina oznacza. Wiedział przecież, że to mu nic nie da. Była jak skarb, o którym wprawdzie się marzy, ale którego nigdy nie można posiadać. Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę w

milczeniu, wreszcie skinął jej głową i ruszył przed siebie. Dobiegło go jeszcze nagłące wołanie Torveena:

— Judith, proszę, wejdź do mnie jeszcze na trochę!

Surratt przystanął na werandzie. Tuż obok dostrzegł Annette Carvel i George'a Barnaya. W oczach dziewczyny odnalazł coś, co mogło stanowić dobrą zapowiedź dla tamtych obojga. Uśmiechnął się do niej i uściskał Bernayowi dłoń. George chciał coś powiedzieć, ale Surratt potrząsnął energicznie głową i poszedł w stronę stajni, następnie dosiadł konia i wyruszył w drogę.

Około dziesiątej dotarł do przełęczy. Tam zatrzymał się i odwrócił po raz ostatni. Wreszcie wzruszył ramionami jak gracz, który wie, że przegrał, i trącił konia piętami.

Za następnym zakrętem ujrzał nagle przed sobą Judith Cameron. Siedziała swobodnie na koniu i zdawała się czekać na niego. Zbliżył się do niej na odległość kilkunastu metrów i zatrzymał konia. Podjechała zupełnie blisko, uśmiechając się jakoś dziwnie. Jej oczy były teraz przejrzyste, pozbawione cieni. Głosem przywodzącym na myśl muzykę, powiedziała:

— Jest pan tak mądry, Buck. A jednocześnie tak ślepy!

Odpowiedział gwałtownie i z irytacją:

— Nie udało mi się odgadnąć, gdzie jest pani serce, Judith, znam jednak aż za dobrze uczucia Sama Torveena. A ja nigdy nie okradam swoich przyjaciół.

Zeskoczyła zwinnie na ziemię.

— Niech pan zsiądzie z konia, Buck. Niech pan zsiada!

Uczynił, o co prosiła, i stanął tuż przed nią.

— Pan wcale na mnie nie patrzy, Buck! Czyżby naprawdę myślał pan już o tym, co znajduje się za najbliższym wzgórzem? Niech pan spojrzy na mnie!

Odparł z namysłem:

— Przecież pani wie doskonale, Judith, jaki jestem.

— Oczywiście, że wiem! Nawet lepiej niż pan. Ale jeszcze lepiej od nas obojga wie o tym Sam. Dlatego poradził mi, że-  
bym pojechała za panem, Buck. — Ściszyła teraz głos do ledwie  
słyszalnego szeptu. — Zresztą i tak bym to zrobiła. Powiedz,  
najdroższy, dlaczego właściwie uganiaasz się stale, sam nie  
wiesz za czym, dlaczego nie możesz zaznać spokoju?

Był jak doskonale opanowany gracz, który nie bardzo wie-  
rzy w tak nagły uśmiech fortuny. Niezdecydowanie ujął dziew-  
czynę za ramiona.

— Byłaby to nadzieja, której tak naprawdę nie miałem do  
tej pory — powiedział z całkowitym spokojem.

— Och, dlaczego więc byłabym tu?

Porwał ją w objęcia i pocałował. I nagle zrozumiał, czego  
szukał tak niestrudzenie przez całe swoje życie.

A potem uzmysłowił sobie, że oto nastał kres jego długiej,  
bardzo długiej drogi.